Nr. 53. Kraków, dnia 31 grudnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W dniu Nowego Roku „TYGODNIK NARODOWY“, pracujący z Wami i dla Was przez rok cały, zasyła wszystkim Współpracownikom, Przyjaciołom, Czytelnikom i ludziom dobrej woli najszczersze życzenia DOSIEGO ROKU.

Redakcya i Wydawnictwo
TYGODNIKA NARODOWEGO.

Przed rozwiązaniem.

Austrya pozostaje w znaku przesilenia. Gabinet br. Bienertha z ministrem skarbu, dr. Leonem Bilińskim padł, powalony przez Koło Polskie.

Nasza reprezentacya parlamentarna trzyma się taktyki uzasadnionej.

Polacy, znający tradycye państwowe i prawo rządne, świadomi są znaczenia ładu i porządku społecznego. Boć bez nich ani myśleć o rozwoju społeczeństwa, ani o rozkwicie państwa. Austrya, widząc, że nie zdoła złamać usiłowań polskich do rozwoju społecznego, że nie zdoła zniweczyć dążeń naszych do zdobycia samoistności politycznej, pogodziła się z faktem istnienia Polaków i zastosowała sprytną metodę ujęcia sobie rzesz polskich za cenę udzielenia Polakom praw narodowych.

I istotnie, nadała nam takie prawa, które mniej więcej zezwalają na jaki taki rozwój narodowy. Mamy możność wychowywania młodzieży w *języku* ojczystym, a przy dobrej woli nauczycieli i wychowawców także w *duchu* narodowym polskim; mamy możność rozwoju gospodarczego, mamy prawa językowe w sądownictwie i administracyi, a język polski jest faktycznie językiem urzędowym.

Temi udogodnieniami łudzić się nam nie wolno. Wprawdzie w zaborze austryackim jest nam lepiej, aniżeli pod Moskalem lub Prusakiem, daleko nam wszakże do zadowolenia pragnień naszych.

Przedewszystkiem nie jesteśmy gospodarczo tak silni, ażeby módz rozwijać się samodzielnie, niezależnie od sił ekonomicznych niemieckich i czeskich. I Czesi i Niemcy zalewają nas swymi wyrobami, wyciągają wszelki pieniądz poza granice kraju.

W chwili obecnej jest możność usamodzielnienia się gospodarczego. Nie było w dziejach porozbiorowych chwili tak ważnej, jak obecna: kwestya kanałów jest momentem decydującym: albo położymy pod rozwój gospodarczy kraju fundamenty niezłomne, albo znów będziemy wieść żywot paryasów.

Koło Polskie ten gabinet, który stanowczo opowiedział się przeciwko kanałom, obaliło. Około Nowego Roku będziemy mieli gabinet nowy.

Już dzisiaj roi się od pogłosek i kombinacyi o kandydaturach ministeryalnych. Nie powtarzamy ich, bo one właściwie nic jeszcze nie mówią.

Jedno pozostanie niezmienione. Czy w gabinecie zasiądzie ten lub ów, to mniejsza. Moment decydujący, aby sprawa polska wyszła na tem dobrze i aby były... kanały!

Mówią o rzeczach nieprawdopodobnych, o połączeniu się ludowców z demokratami narodowymi. Mniejsza o to, czy to prawda, czy istotnie w Kole dojdzie do utworzenia większości i ustaną zaciekłe walki frakcyjne: byleby jeno respublica rozwijała się dobrze a obywatele byli stróżami praw publicznych!

Na progu Nowego Roku.

W chwili gdy w gruzy walił się nasz byt narodowy byliśmy narodem niegotowym. Ci, którzy państwową ideę reprezentowali na zewnątrz a obowiązani byli wewnątrz ją umacniać, rozwijać, strzedz — tworzyli garstkę uprzywilejowaną, dzierżącą w ręku rząd i ekonomiczno-społeczną przewagę, mieszczaństwo, pozbawione swych dawnych praw, ledwie się znowu budzić poczynało, lud spał, ogłuszony obuchem społecznego ucisku.

Ale w owej warstwie wierzchniej kiełkować poczynały nowego życia zarodki. Odczuła społeczną krzywdę milionowej warstwy ludowej — zrozumiała niemożliwość uratowania państwowego bytu wobec grożących z zewnątrz niebezpieczeństw, jeżeli się tego bytu na silniejszych nie oprze podstawach, jęła się więc dzieła reformy państwowej i rzuciła pierwsze ziarno reformy społecznej, ażeby życie narodowe oprzeć o silną podstawę ludu, sprawiedliwością przygarniętego do matczynej piersi Rzeczypospolitej.

I w tej chwili poczynającego się odrodzenia, kiedy nowe prądy ożywcze zaczęły dopiero zwyciężać, a poczęta reforma państwowa nie miała jeszcze czasu, aby wydać owoce — w tej chwili padł na Rzeczpospolitą cios najstraszniejszy, jaki mógł państwo i naród spotkać. Ciosem tym była nie tylko sama utrata niepodległego bytu, ale i podział na troje. Klęska państwa przez podział stała się w swoich skutkach stokroć straszniejszą. W każdej części inne urządzenia, inne ustawowe, administracyjne, ekonomiczne warunki bytu i rozwoju, — opóźniały dzieło odrodzenia nietylko tak, że mu stawiały zapory i przeszkody ale, że rozwój wypaczały nadając mu fałszywe, z charakterem i usposobieniem duchowem narodu niezgodne kierunki.

A jednak duch narodu łamie te warunki i przeszkody — i dzieło odrodzenia powoli, nie bez zboczeń, postępuje naprzód. Lud wsi i miast, od pługa i młota, staje się narodem, wchłania w siebie owoce pracy duchowej polskiej, staje się czynnikiem narodowej siły. I sprawdzać się zaczynają przeczucia, ziszczać nadzieje pokolenia Trzeciego Maja i Kościuszki, że sprawa narodu znajdzie swą silną podstawę w obudzonej do życia masie ludowej. Tam, gdzie na mowę polską, na wszelkie istotne znamiona narodowości, na sam byt nasz, jako narodu, wykonywane są zamachy, urągające wszelkim pojęciom, już nie tylko sprawiedliwości, ale i kultury, cywilizacyi — tam narodowość polska najwytrwalszą znajduje obronę, a zamachy te natrafiają na najskuteczniejszy opór w uświadamiającym się ludzie.

Ale nie łudzimy się — owo wielkie dzieło narodowego odrodzenia, zespolenia wszystkich warstw nieszczęśliwego, podzielonego narodu w całość, która mimo nieuniknionych różnic, jedną narodową myślą byłaby przejęta — jest dopiero w zaraniu. Nie wolno nam wierzyć, że co się mimo olbrzymich przeszkód dokonywać zaczęło samo jedynie pójdzie szczęśliwie dalej, że jakiś nieuchwytny duch narodu dzieło to doprowadzi do końca. Ten duch narodu potrzebuje rąk i materyalnych środków, ażeby dzieła swego dokonać. Tu trzeba pracy, pracy i jeszcze raz pracy. Trzeba ducha wzmacniać, umysły rozświecać, brać w siebie wszystkie owoce nowoczesnej kultury, która tak potężnie wzmaga siły cywilizowanych społeczeństw, ale czuwać nad tem, aby pozbywając się błędów, nie zatracić znamiennych cech i zalet umysłu polskiego. Trzeba ideę społecznej sprawiedliwości wcielać w całe nasze życie, trzeba tam, gdzie do tego otwarte pole, dawać jej wyraz w działaniu politycznem, trzeba wszędzie urzeczywistniać ją w działaniu dobrowolnem, zbiorowem, czy jednostkowem, na polu ekonomicznem i społecznem. Trzeba pracą ekonomiczną wzmacniać materyalne podstawy narodowego bytu. Trzeba wszelkim zamachom na nasze narodowe prawa i obyczaj stawiać opór wytrwały, niezłomny, skuteczny. Trzeba ducha narodowego krzepić i wzmacniać — a pokolenia dorastające wychowywać w tem poczuciu i przekonaniu, że bez ofiar jednostkowych, nie zdobędzie się pomyślnej dla narodu przyszłości. Trzeba polityczne wykształcenie ogółu podnosić, ażeby z ofiarnym patryotyzmem szedł równolegle polityczny rozum, któryby umiał środki działania do danych warunków stosować.

Obrona narodowości polskiej od wszelkich skądkolwiek zamachów i praca nad wewnętrznem odrodzeniem narodu, to hasło działań i życia obecnego pokolenia.

Ostatni czas **odnowić przedpłatę**. Uczyńcie to sami, Przyjaciele i Czytelnicy, nie zapomnijcie przypomnieć o tem Znajomym! Gdyby kto ze Znajomych „Tygodnika“ nie miał lub nie znał, podajcie mu numer z gorącą zachętą. Ramię do ramienia! „Wspólnemi siły opaszmy ziemskie kolisko!“

Przedpłata na Tygodnik Narodowy wynosi: rocznie 9 kor.; półrocznie 4 kor. 80 hal.; kwartalnie 2 kor. 40 hal.

W obronie Napoleona.

Do „Kurjera“ piszą z prowincyi z poważnej strony:

Weszło w modę u pewnej kategoryi ludzi zohydzanie naszych powstań i systematyczne poniżanie idei napoleońskiej. Śmiałek, który zacząwszy wydawnictwo pisma od najzwyklejszych komunałów, a skończył na opluciu bohaterskich walk o niepodległdść, został, jak lichy aktor, przez publiczność wygwizdany, lecz często w ostatnim czasie zbezczeszczona przez ignorantów i nieuków postać Napoleona domaga się jeszcze zadosyćuczynienia.

Polski w końcu wieku ośmnastego nie było. Skonała duchowo już za Sasów. Przed rozbiorami porywają moskale ze stolicy polskiej biskupa Sołtyka i wywożą go w głąb Rosyi. Tygodniami wiozą polskiego biskupa przez kraj katolicki, biczujący się, poszczący, oddający się bezrozumnej dewocyi, zasiany gęsto klasztorami — a ani jedna nie podnosi się ręka ku obronie uwięzionego dostojnika Kościoła. W pierwszym rozbiorze zabierają nam cztery tysiące mil kwadratowych i naród bezmyślny nie zdobył się na przelanie kropli krwi ku swej obronie. Majętniejsze rodziny oddają kopami synów do kadetów pruskich w Chełmnie. Krasicki — swoją drogą najgenialniejszy człowiek swej epoki — bawi się w Poczdamie, dowcipkuje z Fryderykiem, nazywa go swym dziaduniem i pozwala mu płacić swoje długie. Karpiński pisze wiersze do Katarzyny. Generał Sowiński, późniejszy bohater wolskiej reduty, w dniu konania rewolucyi, walczy pod Jeną jako oficer artyleryi po pruskiej stronie; Lubecki później świetny minister finansów Królestwa Kongresowego, zaciąga się jako młody oficer w szeregi rosyjskie i walczy w Szwajcaryi pod Suwarowem. Polaków nie było. Jakaś dziwna, niezrozumiała dalszym pokoleniom rezygnacya wobec gwałtownych przewrotów politycznych. Na akt homagialny w Poznaniu z dnia 8. maja 1793 r., w dniu patrona Polski, wybranym jakby na ironię, stanęło w murach Poznania 1500 deputatów szlacheckich i 700 deputatów miejskich, by nasamprzód mszą w kościele farnym, a następnie świetnym balem w pałacu Górowskich (dzisiaj Działyńskich) uczcić przejście wielkopolskich województw pod panowanie pruskie. Tymczasem literaci i poeci warszawscy śpiewają czułości do rozmaitych Laur, sylfid i rusałek, opiewają piękności Zofijówki. W całej literaturze napróżno byś szukał choćby jednego okrzyku bólu i rozpaczy.

Dopiero Napoleon wulkanicznie wstrząsnął narodem. Napoleonowi zawdzięczamy uzdrowienie polityczne i duchowe. Napoleon odbudował Polskę nie terytoryalnie, ale wskrzesił ją duchowo i moralnie, aż po dni nasze. Napoleon powołując nas pod sztandary francuskie i każąc nam bić się równocześnie za Polskę i za Francyę, powołał nas do nowego życia. Nie przywrócił Polski w dawnych granicach, bo sam skończył klęską. Pytajmy raczej — powiada jeden z historyków słusznie — czy po odniesieniu w r. 1812 zwycięstwa nad Rosyą byłby mógł nie przywrócić Polski? Czy logika prosta powodzenia nie wskazywała mu konieczności stworzenia Polski w dawnych jej granicach?

Niechaj więc wydawcy naszych pism rzucają swej rzeszy wiązkę oklepanych, nieszkodliwych frazesów o konieczności dorabiania się, lecz niech nie mówią narodowi o zwodnej epopei napoleońskiej i niech nie odwodzą narodu od wpatrywania się w postać Napoleona, Dąbrowskich, Kniaziewiczów, Niegolewskich. Lepsze to, niż szerzące się wśród nas prawie religijne poszanowanie dla ceł zbożowych i uczucie wdzięczności dla rządu pruskiego za jego „rozumną politykę agrarną.“ Niechaj kramarskie natury nie tykają olbrzyma, który wydobył nas z bagna bezmyślności i ciemnoty.

NOWY ROK.

Leci sobie Nowy Roczek z wysoka, z daleka,
Rozpatruje się po ziemi, która nań dziś czeka.
Widzi kraje rozmaite, kolejno je wita,
Obiecuje wszędzie dary, o potrzeby pyta.
Aż przyleciał nad krainę, w śniegi otuloną, —
Gdzie radośnie go przyjmuje, polskich dziatek grono.
Więc otworzył Nowy Roczek szeroko oczęta,
I zadumał się coś dziwnie... rozłożył rączęta...
I zawołał: Tę krainę hojnie ja obdarzę!
I na wiosnę wonnym kwiatkom bujnie rosnąć każę.
Najpełniejsze kłosy zboża rzucę na jej rolę,
I rozśpiewam ptasząt chóry, by jej słodzić dolę...
A że teraz drży od zimna, spowita w śnieg biały,
Dam jej dziatkom serca ciepłe, by ją ukochały!!

SEN NOWEGO ROKU.

Monotonny turkot maszyny ustał. Matka przyszywała ostatnie już falbany do sukni pani radczyni.

Oderwałem zmęczony wzrok od książki, którą czytałem przy tym turkocie i spojrzałem po pokoju. Na podłodze leżą skrawki różnych materyałów: różowy batyst delikatny wala się razem z żółtawym, eteryczny muślin biały łączy się w uścisku z ciemnym perkalikiem, wełniane, brunatne szmatki leżą tuż obok tiulów i jedwabiów. W kącie zaś stoi manekin druciany, przystrojony w ową suknię, przy której schylona matka, z oczyma zaczerwienionemi, wykończa już ostatnie szczegóły, wyciąga fastrzygi, poprawia fałdy i zakładki.

Różnie już oglądałem tę lalę bez głowy: czasami pyszni się ona w strojnej sukni balowej, nazajutrz przywdziewa skromny kaftanik perkalikowy to znów stoi obnażona, pokorna, jakby wstydziła się swej nagości drucianej. Dzisiaj wygląda bardzo ładnie w tej sukni jasno-błękitnej z trenem długim.

Manekin ten w rozmaitych swoich odmianach i postaciach ukazywał mi ludzi wszystkich warstw i stanów. Widziałem, jak wygląda wielka dama, jak ubiera się zalotnica, jak się odziewa robotnica. Czasami w myślach swych przystosowywałem do tego korpusu bezdusznego — głowę, aby sobie świat wyobrażać. Czasami w zapomnieniu chciałem porozmawiać z tą lalą, czasami wzbudzała we mnie jakieś myśli — objęcia w uścisku władczynię pięknego stroju. Zapominałem, że to tylko szkielet druciany.

Wreszcie matka powstała z ziemi, rzuciła z zadowoleniem ostatnie spojrzenie i uśmiechnęła się lekko. Przypomniały się jej zapewne czasy, gdy królowała na balach w takich samych sukniach — czasy minione bezpowrotnie. Poczem zebrała jeszcze zgrubsza skrawki materyałów, okryła maszynę płótnem, i zabierając się przejść na spoczynek do alkierzyka przybocznego, złożyła pocałunek na mej głowie ze słowami: „Jutro rok nowy, mój synu, dostanę zapłatę za tę suknię, przygotuję ci dobry obiad“.

Pozostałem sam w pracowni, w pokoju obszerniejszym, gdzie więcej powietrza i światła, bo tego wymagało moje zdrowie. Choroba coraz więcej wżerała się we mnie, zarobek mój malał coraz więcej, coraz dłużej po nocach matka musiała pracować, aby dorabiać na utrzymanie skromne.

Pozostałem sam i mimowoli pogrążyłem się w myśli o roku nowym.

Co on nam przyniesie, co on nam da? Czy przyniesie matce odpoczynek, czy mnie da zdrowie?

W tejże chwili zapewne płyną tysiące myśli, tysiące pożądań i życzeń w przestrzeń bezgraniczną. W nieskończonym biegu czasu, czasu bez początku i końca, ludzkość nawiązuje supełki, niże wieki i lata, jak paciorki na nitce bez końca. W dniu, który jutro podobny będzie zapewne do dzisiejszego, ludzie spodziewają się najrozmaitszych zmian upragnionych.

W myślach tych o Roku Nowym ukołysałem się do snu.

* * *

Śniłem.

Była noc zimowa, jasna od bladych promieni miesiąca, od białego całunu śniegu, cichą tą ciszą ziemi skostniałej, odrętwionej. Pod tym pokrowcem białym, zdało się, że życie zamarło na wieki, że pod nim spoczywa trup, który się nigdy nie obudzi. W dali, gdzieś daleko, otulone w muśliny szronu, sterczały drzew szkielety, skamieniałe, nieme.

Nagle na tych polach bezbrzeżnych, białych, ujrzałem całe zastępy ludzi, dążących z pospiechem...

Idą ich tysiące, miliony... Idą starzy, powłócząc nogami, idą matki, prowadzące dzieci lub z niemowlętami na rękach, idzie młodzież z roziskrzonem okiem, wloką się kaleki jakieś z ranami.

Idą tysiące, miliony... Na twarzy wszystkich znać jakieś zaciekawienie, rozgorączkowanie, oczekiwanie. Jakaś myśl wspólna pcha ich wszystkich, jakieś ogólne pragnienie tłoczy ich wszystkich.

— Dokąd dążycie? — pytam.

— Idziemy prosić łaski u niego! — odpowiadają.

I spieszą, nie chcąc się spóźnić.

Aż ziemia zczerniała pod ich nogami, aż muśliny spadły z drzew pod ich ciepłym oddechem. Idą roje, fale, całe mrowiska ludzi wysypały się na te pola... Dążyłem wraz z nimi.

* * *

Ujrzałem go, jak zamyślony siedział nowy władca świata nad księgą otwartą, do której zapisywał prośby i podania.

Cisza w powietrzu, tylko oddech piersi milionów, falujących niepokojem zlewa się w jeden potężny dech ludzkości pragnącej.



Nowy Rok.

Oto występują uczeni o czole myślą zoranem i przedstawiają swe życzenie.

„Spraw, abyśmy ujrzeli nareszcie krainę prawdy i cnoty. Dość nam już błądzenia tego, dość nam fałszu, pragniemy dotrzeć do źródła życia. Pracujemy wciąż w uczelniach naszych, doświadczamy i rozbieramy w laboratoryach naszych, chcemy dotrzeć do rdzenia rzeczy. Chcemy poznać...

„Prawdy, prawdy, prawdy" — wołali chórem, a echo wielokrotne powtórzyło ich słowa.

Po nich przystąpili inni, jacyś ludzie o twarzy wesołej, podnieconej napojem, uśmiechniętej. Ci mówili:

„Spraw, aby życie toczyło się wesoło, w kołysankach, w upojeniu winem. Niechaj pieśń huryski wtórzy nam zawsze, niechaj smutek nie zagląda do nas, niech zawsze będzie nam rozkosznie i dobrze. My chcemy bawić się, my chcemy pić, my chcemy żyć..."

„Pić, pić, pić!" powtórzyły tysiące, miliony głosów, a echo wielokrotnie poniosło gdzieś daleko ich życzenia.

Oto przystąpili znowu, kołysząc się wolno, jacyś zaspani, którym widocznie nie podobał się ten tłum i tak mówili:

„Spraw, abyśmy żyli spokojnie, w ukojeniu. Niechaj nad głowami naszemi nie huczą burze, niechaj grom nie wstrząsa nami, my chcemy przejść życie w ciszy i w uśpieniu. My chcemy spać

„Spać, spać, spać!" odezwały się tysiące, głosów, a echo wielokrotne odbiło te wołania.

Wystąpili inni jeszcze, wołając chleba, inni prosili o sławę.

Występowali starcy, kaleki, dziewice i dzieci, a wszyscy prosili o spełnienie ich życzeń.

Nagle z pośród tłumu usłyszałem głos rozpaczliwy, „puśćcie mnie, puśćcie do niego!" I ujrzałem, jak matka moja, wydobywając się spocona z tłumu rzuciła się przed nim, przed nowym władcą świata.

— Czego chcesz? — zapytał

— Spraw, abym tyle zarobić mogła, bym memu synowi była w stanie dać codziennie posiłek.

Za nią tysiące matek to powtórzyło i echo powtórzyło: „o spraw!"

Obudziłem się rankiem ze łzami w oczach.

* * *

Nademną stała moja matka stroskana. Całowałem jej rękę, szepcąc życzenia.

Jakby w odpowiedzi podała mi różowy bilecik, jaki jej przysłała pani radczyni, na którym wyczytałem następujące słowa:

„Przepraszam bardzo, że z powodu okoliczności nieprzewidzianych, nie będę mogła dzisiaj uiścić się z zapłaty".

„Suknia leży doskonale, za co pozostaję wdzięczną..."

Z tajemnic Petersburga.

Niedawno szczęśliwi mieszkańcy nocnych przytułków Petersburga byli zaniepokojeni odbywającą się we wszystkich przytułkach statystyczną wycieczką, mającą na celu dowieść konieczności wybudowania nowych przytułków na ogólną ilość 20 tys. ludzi, obecnie zaś stolica cesarstwa posiada przytułków tylko dla 6 tys. ludzi. Gdy lokatorom przytułków wyjaśniono przyczyny zwiedzania tych domów — dawali wszelkie informacye bardzo chętnie i uprzejmie, czemu zresztą sprzyjała ta okoliczność, że nikt nie pytał o nazwisko, ani o paszporty.

Wraz ze studentami i studentkami, którzy mieli prowadzić statystykę, kilku dziennikarzom udało się zwiedzić cały szereg przytułków nocnych, które zostały określone bardzo wymownie zdaniem: „Śmietnik sennego mięsa ludzkiego".

Chociaż większość zwykłych mieszkańców tych „śmietników" wolała nie zjawić się tej nocy na spoczynek, pozbawiając siebie przyjemności możliwego spotkania się z „argusowem okiem" policyanta lub szpicla, wszakże ogólne wrażenie nader ciężkie i smutne.

W domach noclegowych, należących do rady miejskiej, przepełnienia niema, gdyż zarząd tych domów wpuszcza ściśle określoną ilość szukających schronienia przed zimnem i słotą petersburskiej nocy. Z tego powodu w tych domach panują stosunkowo możliwe warunki hygieniczne.

— To dobrze dla tych, którzy tu dostali się — zauważył rządca jednego z domów noclegowych miejskich, — lecz bardzo niepożądane dla tych, którzy odeszli z niczem od zamkniętych drzwi przytułku. Nigdzie już nie znajdą schronienia tej nocy, a dlatego wszyscy bez wyjątku wolą ścisk, brud i hałas — byle nie zostać na bruku ulicznym przez długą noc jesienną. Od drzwi naszego przytułku idzie droga do ulicy, a ta droga zlana



W trosce o Dzieciątko.

łzami ludzi bez dachu nad głową, przeklinana gorzkiem przekleństwem niedoli.

Istnieją też i domy prywatne, a w tych domach, gdzie właściciel ma na celu swoje zarobki, panuje przepełnienie, dochodzące do 130 procent. W suterenach, na „narach“, gdzie ze szczelin wychylają się co chwila całe armie pasorzytów wszelkiego rodzaju, pod „narami“, na gołej brudnej podłodze, w ustępach śpią ledwo odziani, niczem nie przykryci nędzarze, często chorzy, zawsze prawie pijani, a więc okradani i krzywdzeni przez trzeźwiejszych sąsiadów, i kolegów.

I ciągnie się takie życie często dziesięć, dwadzieścia lat!...

— Człowiek jest zwierzęciem nawykającem do wszystkiego! — powiedział kiedyś wielki znawca duszy ludzkiej Dostojewskij. I oto się sprawdza, gdy udaje się zwiedzać „śmietniki sennego mięsa ludzkiego“.

Kogo to twarda, nie znająca litości ręka losu nie rzuciła do tych „śmietników!“ Oto typ „dna“ petersburskiego, przedstawiciel lumpen-proletaryatu, może tylko alkoholik, ale może być, że nożowiec, uliczny apasz, złodziej kieszonkowy, nocny rabuś,

a dalej biedny chłop bezrobotny, majster kowalski, któremu młoty parowe i hydrauliczne odebrały zarobek i rzuciły do „śmietnika“, buchalter, aptekarz, fryzyer, reporter dzienników petersburskich, a dalej ojciec z dwoma dzieciakami. Ciekawa historya tego nieszczęśliwego ojca rodziny.

Nowe przepisy administracyjne, dotyczące mieszkań, gdzie się wynajmnją „kąty“, zwyższyły płacę za te „kawałki“ mieszkania tak znacznie, że większa ilość drobnych lokatorów poszła na ulicę, a po dwóch nocach pod pochmurnem niebem... do „śmietników“. Poszedł tam i ten ojciec z dwojgiem dzieci, a razem z nim i jego żona; lecz ta nie znalazła wolnego miejsca w wydziale dla kobiet i poszła się tułać, szukając nowego schronienia. Przeszło już trzy dni, a nie mogą się oni dotąd znowu spotkać.,.

Opowiadał i płakał ten ojciec i mąż, wrzucony do „śmietnika“.

I co straszniejsze, że w nocnych przytułkach, w tej otchłani ludzkiej nędzy i niedoli, — ci nocni mieszkańcy „dna“ bogatej stolicy połyskującej latarniami elektrycznemi i olbrzymiemi oknami magazynów, czują się szczęśliwymi, gdy myślą o tych, którzy błąkają się w tej chwili w polach, przylegających do niektórych dzielnic Petersburga, szukają schronienia przed wiatrem i deszczem w pustych berlinkach, z których wywieziono drzewo opalowe, w opuszczonych na zimę norach ziemnych ogrodników podmiejskich, pośród sztablów desek, lub pod motami ociekającymi błotem ulicznem i cuchnącą zielenią pleśni...

Członek rady miejskiej, znany działacz społeczny p. Falbork, wygłosił słuszne zdanie, że zarządzona statystyka domów noclegowych nie da rezultatów pozytywnych, gdyż większa połowa zwykłych, mieszkańców tych przytułków, obawiając się spotkania z policyą, nie zjawiła się, a więc o prawdziwej nędzy bez przytułku sądzić nie można.

Naturalnie p. Falbork ma racyę, lecz to, co nawet obecnie widzieć się dało — przechodzi najbujniejszą wyobraźnię powieściopisarza i zbliża zgrozę, którą dyszą te „śmietniki sennego mięsa ludzkiego“, do zrodzonego geniuszem Dantego — „Piekła“.

Kto nigdy nie zaznał smutku, ten kochać nie umie.

* * *

Kto serce postradał, ten umarł prawdziwie.

Ukłon a charakter.

Czego też wszystkicgo sposobem ukłonu powitalnego wyrazić nie można! Głęboką cześć, szacunek, miłość, przyjaźń, zwykłą grzeczność, obojętność, lekceważenie itd.; to dowodzi, że wcale nie obojętną jest rzeczą sposób, w jaki wyrażamy powitanie, gdyż każde podlega krytyce. Można stanowczo utrzymywać, że w sposobie powitania ujawnia się charakter człowieka; można poznać, czy jest przyjacielem ludu, czy wrogo przeciw nim usposobionym, czy dobrze jest wychowanym, uprzejmym, lub niegrzecznym i nieprzystępnym. Można też w sposobie powitania poznać, czy pozdrawiający skromnym jest, czy zarozumiałym, ponurym lub swobodnego usposobienia. Dalej poznajemy ich, po ukłonie, czy ktoś bardzo zajęty i spieszy się, czy rozporządza dowolnie swym czasem, czy jest wesołym, czy poważnym, krótko mówiąc, kto chce i może obserwacye tego rodzaju roztaczać, ten może z ukłonu i powitania urobić sobie, chociaż tylko podkład usposobienia i charakteru, powtarzam, człowieka.

Forma powitania jest rozmaitą. Czasami zaczyna się od bezmyślnych słów, lub krytyką pogody, wykrzyknikiem lub tylko ukłonem, mającym tyle odmian, ile ludzi spotykamy... Zapatrywania w kierunku, kiedy ukłon ofiarować lub otrzymać, też są rozmaite. W Niemczech wita mężczyzna pierwszy kobietę, jednak uczennica nie czeka ukłonu nauczyciela; pierwsza mu go składając. Również starsi panowie, przełożeni, otrzymują ukłon od dam; w ogóle prawie zawsze rozstrzyga wiek poważny. Zwykle powinien młodszy pierwszy się skłonić, nawet wtedy, kiedy ten starszy, gdyby był z nim w równym wieku, obowiązanym był pierwszy go powitać. Właśnie w takich wypadkach często fałszywie się postępuje i czyni to więcej, jak ujemne wrażenie, gdy się widzi, że młody człowiek lub młoda panienka czeka na ukłon siwego mężczyzny lub zamężnej kobiety, jak niektórzy tłomaczą, że stają n. p. na schodach, kiedy starsi wschodzą, więc winni oni się ukłonić.

W Ameryce kłaniają się pierwsze damy, dając tem znak, że upoważniają mężczyznę do okazania znajomości.

Dobrego wychowania, ujawniającego się w grzeczności, wymagamy od młodych, a tak mała na pozór rzecz, jak ukłon, może wpłynąć



Aniołki.

na uczucie sympatyi lub antypatyi. W Ameryce jest wiele młodzieży „niby“ po polsku, po europejsku wychowanej, a jednak rodzice, opiekunowie zaniedbują wpajać im jednej z pierwszych zasad grzeczności, t. j. składania ukłonu znajomym i krewnym na ulicy. Są kobiety, Europejki, które wolą iść ulicą ze spuszczoną głową, aniżeli być narażonemi na brak uwagi ze strony młodszych znajomych, szczególniej mężczyzn. Niektórzy nawet drwią z tych „głęboką składanych ukłonów na ulicy“, a jednak moc przyzwyczajenia dobrego wychowania nie zatraca się nawet w Ameryce u byłych Europejczyków.

W wielkiem mieście naturalnie kłaniają się sobie tylko znajomi; inaczej jest na wsi lub w kąpielowych miejscach n. p., gdzie każdy każdemu się kłania, już dla tego samego, że często się spotykają, chociaż nieznajomi bliżej, w jednych i tych samych miejscach, jak w restauracyach, w miejscach publicznej przechadzki i t. p. Zresztą wszędzie takt i dobre wychowanie pomaga i przeważa.

Wielkim brakiem wychowania w każdym razie nazwać można zaniedbania ukłonu i powitania tam, gdzie jest się do tego obowiązanym; niejako również jest obrazą, nie odpo-

wiedzieć na ukłon. Lepiej jest być nadto grzecznym i uważnym, aniżeli za mało.

Kto się zanadto zastanawia, czy „wypada“ się ukłonić, czy nie, można o nim powiedzieć, że też i mało posiada serca. Może kto śmiać się z tego zapatrywania będzie, a jednak po głębszem zastanowieniu przyzna mi słuszność: ponieważ mimowolnie wyrabiamy sobie sąd o człowieku, po sposobie jego ukłonu, i — ponieważ powinno to być tak potrzebą serca, jak i leżeć w interesie człowieka, być dla wszystkich sympatycznym, jakoteż i dać się cenić. Nigdy za wiele nie będzie dość często zalecać młodzieży naszej wszelką zewnętrzną grzeczność powitania i obchodzenia się.

Wymiar sprawiedliwości wśród zwierząt.

Poczucie sprawiedliwości istnieje bez wątpienia u zwierząt, ale ciekawe wielce jest to, że u żadnego stworzenia nie jest ono tak silnie rozwinięte, jak... u niepokaźnych sojek, których szata jest również ponurej barwy, jak togi adwokackie.

Nieraz zdarza się, że jakaś parka umieści się za blisko przy innej parze starszych sojek, a te, niezadowolone z tak bliskiego sąsiedztwa, szukają jakiegokolwiek pozoru do sprzeczki, która kończy się zwykle wyparciem niepożądanych sąsiadów.

Wyrzucone stadło musi zatem robić nowe poszukiwania; lecz tym razem stara się ono wybrać miejsce należycie odosobnione. Gniazdo rośnie w oczach; wnet jednakże słabnie gorączkowa czynność budowniczych, którzy tak gorliwie zabrali się z początku do pracy. Znoszenie budulca, za którym muszą latać daleko, męczy je szybko, starają się więc zdobyć materyał gdzieś w pobliżu. Odtąd myślą tylko o tem, by kraść, gdzie się da; skuro zobaczą bezbronne gniazdo, wybierają natychmiast co najlepsze kawałki drzewa.

Lecz takie łupiestwo nie uchodzi nigdzie bezkarnie. Czy może zanosi kto skargę? Nie wiadomo. — Lecz karę wymierza się publicznie.

Goldsmith, uczony przyrodnik angielski, widział, jak w podobnym wypadku ośm do dziesięciu sojek opadło gniazdo przestępnej pary i zniszczyło je w okamgnieniu.

Nadchodzi jednakże czas, w którym młode stadło rozumie, że powinno używać środków bardziej godziwych. Jedno z nich idzie wtedy zbierać budulec, podczas gdy drugie strzeże obranego miejsca i w końcu po trzech lub czterech dniach, urozmaiconych drobnemi utarczkami, posiadają młodzi obszerne gniazdo, zbudowane z kawałeczków drzewa, a wyłożone korzonkami i trawą. Od chwili, gdy samica zaczyna znosić jajeczka, ustają wszelkie utarczki.

W północnej Szkocyi i na wyspach Owczych — jak opowiada pewien przyrodnik — odbywają się od czasu do czasu niezwykłe sejmy wron. — Zbierają się one w wielkiej liczbie, jakby na wezwanie; można wtedy odróżnić między niemi trzy rodzaje „publiczności“; jedne z głowami spuszczonemi, mają wygląd przygnębionych, inne pełne powagi, niby mędrce, a wreszcie mnóstwo osobników ruchliwych i hałaśliwych. W godzinę mniej więcej zebranie rozchodzi się, pozostawiając często dwa lub trzy trupy na miejscu.

Czasami narady trwają dzień cały lub dwa, a z różnych stron nadlatują coraz nowe tłumy. — Gdy już wszystkie są zebrane, powstaje ogólny hałas i wkrótce potem rzucają się sejmujące ptaki na kilku skazanych, uśmiercają je i rozsypują się następnie w zupełnym spokoju.

Podobny „trybunał“ ptasi opisał inny uczony przyrodnik.

Siedział on raz na werandzie w jednej z indyjskich miejscowości, gdy ujrzał, jak trzy lub cztery wrony usiadły na sąsiednim domu i zaczęły krakać z taką mocą i w tak dziwnym tonie, że wzbudziło to jego ciekawość. Wkrótce ze wszystkich stron nadleciało tyle wron, że pokryły dach cały.

Po niesłychanym hałasie rozpoczęło się coś, jakby obrady; czas jakiś słychać było miarowe krakania, poczem cała grupa uniosła się w powietrze, tworząc pierścień dokoła sześciu współtowarzyszek, z których jedna była widocznie osądzoną, gdyż pięć innych uderzają ją raz po raz dzióbami, tak, że nie mogła uniknąć ciosów. Ostatecznie spadła na ziemię w odległości około 30 metrów od przyrodnika, który poszedł ją podnieść.

Lecz ptaki umieją się też bronić czasem, jak oskarżeni, którzy mają język wcale zwinny. Pewien dostojnik kościelny miał widzieć taki wypadek.

Wśród niby aeropagu sojek znalazła się jedna wrona. Miała ona mowę, na którą sojki odpowiedziały wybuchem krakania; wreszcie nastało milczenie, wrona zabrała głos na nowo i — zdaje



Zazdrośni.

się — że wywody jej zadowoliły sędziów, — gdyż po powtórnem okrzyku rozeszły się wszystkie spokojnie: wrona na swoją wieżę, a sojki do gaju.

Widzimy tedy, że wymiar sprawiedliwości istnieje nawet w świecie zwierzęcym, tu jednak już go nie łagodzą — jak między nami uczucia humanitarne.

Nieco o armatach w Polsce.

Najpierwsze wiadomości o używaniu armat w Europie pochodzą z roku 1326 we Włoszech, z roku 1340 we Francyi, a w Niemczech dopiero z roku 1346. Ponieważ Polska wtenczas stała na wyżynie postępu i rozwoju, nie ulega wątpliwości, że i u nas w tym czasie armaty były znane i uży-

wane. Wspomina też o tem kronikarz polski, ks. Jan Długosz.

Opowiada on między innemi, że przy oblężeniu Łucka i za Kazimierza Wielkiego, „króla chłopków“, używane były działa. To samo twierdzi inny kronikarz z tego wieku, Jan z Czarnkowa. Widział on na własne oczy, jak podczas oblężenia Pyzdr, przez stronnictwo księcia mazowieckiego, Ziemowita, w r. 1383 puszkarz Bartosz Koszecki wystrzałem z działa przebił dwie bramy miejskie i przyprawił o śmierć plebana z Biechowa który stał na placu miejskim, bitwie się przypatrując.

W wojnie z Krzyżakami roku 1410 mieli Polacy armaty i pod Grunwaldem i po tej bitwie pod Malborkiem. Puszkasz polski tak dobrze wycelował z armaty do filaru w sali zamku malborskiego, że tylko na wysokość dłoni celu chybił. Krzyżacy zemścili się za to i pewnego dnia, wyszedłszy z zamku, kilka dział polskich zagwoździli.

Ponieważ sztuka artyleryjska czyli strzelania z armat dostała się najprzód z Włoch i Francyi do krajów niemieckich, stamtąd do Polski, pierwsi więc artylerżyści, czy jak ich u nas nazywano puszkarze, musieli być w Polsce sami Niemcy.

W wieku XVI-ym cieszyli się puszkarze polscy sławą powszechną. Łanie dział za Zygmunta I odbywało się tylko w Krakowie, gdzie król ten pod „Kurzą stopą“ przy Wawelu założył ludwisiarnią i arsenał. Najznakomitszym ludwisiarzem był Hans Behom, ten sam, który odlał największy w Polsce dzwon, nazwany „Zygmuntem“.

Wiele dział służyło pierwotnie do strzelania kulami kamiennemi. Żelazo bowiem było bardzo drogie wówczas. Kule takie ważyły 130 do 140 funtów. Artyleryę utrzymywał król własnym kosztem. Później powstały także artylerye miejskie, to znaczy, że każde większe miasto, jak Kraków, Lwów, Poznań i inne, utrzymywało własne działa i puszkarzy. Ogólna liczba armat w Polsce rosła coraz bardziej w górę. W roku 1791 Rzeczypospolita posiadała w swej artyleryi wszystkich dział 329; za czasów Kościuszki już trzy razy tyle. Najznakomitszym generałem artyleryi był wówczas poeta i żołnierz, Jakób Jasiński.

Wszystko na świecie zmienne jest i niepewne, nie dziw więc, że schwyciwszy ów błędny ognik szczęścia, czujemy ciągły niepokój, ażeby go znowu nie utracić.

Mur chiński.

Pomysł wielkiego muru chińskiego należy się cesarzowi Czin-Si-Hoangti (225—206 r. przed Chrystusem). Był to mąż czynny, pełen energii. Pokonawszy północne plemiona barbarzyńskie, chciał się zabezpieczyć murem od napadów mongolskich i mandżurskich hord rozbójniczych. Olbrzymią tę budowlę wykonały te same plemiona, które napadały na Chiny. Cesarz, pokonawszy ich, wzamian za kontrybucyę wojenną, opłacaną złotem, żądał tylko, żeby chanowie mongolscy i mandżurscy dostarczyli mu robotników. Przez kilkadziesiąt lat 50 tysięcy ludzi bez przerwy mur budowało, praca postępowała szybko. Tym murem Czin-Si-Hoangti wystawił sobie większy pomnik, niż którykolwiek władca na świecie. Dotąd krążą pomiędzy Chińczykami różne podania, dotyczące muru chińskiego, z których dwa przytaczamy poniżej.

Powiadają, że przepowiadano cesarzowi, iż jeśli w fundamenty każe wmurować żywcem milion ludzi, to mur trwać będzie przez milion lat, a dusze zamurowanych będą broniły Chin od napaści barbarzyńców. Cesarzowi podobała się przepowiednia, ale nie chciał osłabić swego państwa ubytkiem milona ludzi, dlatego, jak zwykle chińczycy, użył podstępu: kazał wyszukać człowieka, noszącego nazwisko „Milion dusz“ i mniemał, że gdy każe wmurować w fundamenty człowieka, noszącego takie miano, uczyni zadość warunkom przepowiedni, a bożkowie będą musieli dotrzymaś danego przyrzeczenia i opiekować się murem przez lat milion.

Poszukiwania uwieńczone zostały wkrótce pomyślnym skutkiem. Stawiono przed cesarzem człowieka nazwiskiem Wancej-Lian, to znaczy „Milion dusz“. Człowiek ten przed niedawnym czasem zaręczył się z młodą, ładną dziewczyną Min-can-nui i błagał cesarza na kolanach, żeby nie zabierał go narzeczonej, ale cesarz był głuchy na wszystkie jego prośby i kazał go zamurować.

Budowa muru szybko postępowała, cesarz ciecieszył się z rozpoczętego dzieła; tymczasem młoda Min naprózno wyczekiwała narzeconego; ale nikt nie mógł powiedzieć, jaki los go spotkał, postanowiła zatem sama go wyszukać. Przez długi czas błąkała się po Chinach; przybyła wreszcie na brzeg morza, gdzie dziś wznosi się miasto Szan-haj-kawn.

Olśniła tu wszystkich swą pięknością; sam cesarz należał do jej wielbicieli. Naprożno ubie-



Pożar w stajni.

gano się o jej względy; na wszystkie zaloty ustawicznie odpowiadała:

— Proszę powiedzieć mi, gdzie jest mój drogi Wan?

Błagała wszystkich dopóty, aż wreszcie dowiedziała się, co się stało z jej ulubieńcem; wówczas cesarz poprosił o jej rękę. Biedna dziewczyna długo płakała, rozpaczała na miejscu, gdzie zamurowano jej narzeczonego, wreszcie płakać przestała i przyrzekła poślubić cesarza pod warunkiem, żeby wystawił piękny pomnik na mogile ulubieńca i kazał zbudować wielki most murowany na cieśninie tam, gdzie mur chiński bierze początek. Cesarz przyjął podane warunki, a po upływie trzech lat obie budowle były gotowe. Na kilka dni przed weselem, Min prosiła, żeby jej most pokazano, a gdy stanęła na jego środku, przy boku swego dostojnego, nowego ulubieńca, rzuciła się w tonie morskie, wołając:

— Przybywam do ciebie, ukochany!

I utonęła.

Dziś jeszcze stoi na wyspie wspaniała świątynia, jaką wówczas zbudowano na mogile Wan, oddalonej od lądu na kilometrów 20. Nosi on nazwę wiernej narzeczonej, Min-can-nui. Początkowo stała ona na lądzie, ale fale morskie w przeciągu lat tysięcy oderwały grunt, na którym stoi, od lądu, i zamieniły go na wyspę.

Podczas zajęcia Szan-haj-kwanu przez wojska europejskie w roku 1901 oficerowie europejscy czynili częste wycieczki na tę wyspę, gdzie im kapłani budyjscy opowiedzieli podanie o początku świątyni.

Drugie podanie dotyczy chwili zakończenia muru. Gdy budowa muru zbliżała się do kresu, ten sam cesarz Czin-Si-Hoangti, obawiając się, żeby przed ukończeniem muru nie nastąpił zgon jego, przywołał wszystkich uczonych i lekarzy chińskich, rozkazując im pod karą śmierci wynaleźć środek, któryby przedłużył mu życie. Uczeni i lekarze zastanawiali się długo, ale nie mogli wynaleźć odpowiedniego lekarstwa, gdy wtem jakiś mądry starzec poradził im, co następuje: Zgromadzić z całego państwa 3000 młodzieńców i tyleż dziewic, w wieku od lat 16 do 17; ugotujcie ich żywcem w kilku ogromnych kotłach, a otrzymawszy wywar, odparowujcie dopóty, aż pozostanie na dnie tyle, ile potrzeba na niewielką pigułkę. Tę pigułkę jako ekstrakt z 6000 młodych ciał dajcie cesarzowi, a gdy ją zażyje, będzie żył jeszcze 6 tysięcy lat.

Minęło wiele czasu, zanim wyszukano 6000 młodych ludzi, wreszcie uzupełniono ich liczbę; gotowanie miało się rozpocząć. Wszakże ulubiony minister cesarza przekonał się w ostatniej chwili, iż wszyscy młodzieńcy i dziewice wyglądali bardzo mizernie, byli bladzi jak chusta, i dlatego, według jego zdania, nie posiadali dostatecznej siły żywotnej; pigułka, wywarzona z ich ciał mogła być nieskuteczną, radził więc, żeby przez pewien czas dobrze ich odżywiano, a, gdy wygląd ich się poprawi, miano przystąpić do ich ugotowania. Cesarz długo przyglądał się stawionym przed sobą drżącym, bladym młodzieńcom i dziewicom, i zgodził się zaczekać na nich rok cały. Kazał ministrowi zawieźć wszystkie te ofiary na odległą wyspę, słynną z pięknego klimatu, i tam dobrze ich odżywiać, a po upływie roku znów ich stawić w Pekinie. Stało się według rozkazu. Lecz gdy upłynął rok, cesarz napróżno czekał na swego ministra i 6000 wybranych ofiar. Zniecierpliwiony wysyłał jednego posłańca po drugim, ale i ci nie wracali. Drugi rok przeminął, a cesarz znów wysłał posłańca z surowym rozkazem, ażeby przywieźli wszystkich żywych lub umarłych. Ale ci posłańcy nie powrócili. Wówczas dopiero przekonał się cesarz, że go oszukano, i tak się rozgniewał, że zachorował na apopleksyę, wskutek której zakończył życie.

Nasze ilustracye.

Nowy Rok. Dobiega końca ten, który jednym szczęście przyniósł i wesele, a drugich smagał okrutnością losu. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy rok stary ustępuje dziecięciu, które się co dopiero z jajka ukazało i z radością obwieszcza swoje panowanie, obiecując wszystkim jasne dni i dając nową wiarę w to szczęście promienne.

W trosce o dzieciątko. Biedna, zrozpaczona matka czuwa nad dzieciną swą chorą, a smutek jej i prośba o uratowanie maleństwa jest tak szczerą i wzniosłą, że głowę jej znękaną otacza aureola, jakoby głowę świętej jakiej.

Aniołki śpiewają pieśń cudną o Nowym Roku, którego każdy z utęsknieniem oczekuje, obiecując sobie więcej szczęścia niż w roku starym, minionym.

Zazdrośni. Towarzystwo psie walczy z kotem o pierwszeństwo w łaskach swej pani i strasznie zazdrosnem okiem spogląda na nieprzyjaciela swego, którego dziewczyna, na przekorę zazdrośnikom, trzyma na ręku. Ten najmniejszy zazdrośnik widocznie najwięcej poddał się uczuciu brzydkiemu, bo aż na kotlinę się wskrobał, aby współzawodniczyć z kociakiem.

Pożar w stajni. Spracowane koniki po trudzie całodziennem wypoczywają w stajni aż tu nagle pożar wybuchł. Biedne zwierzęta paczą się i duszą, a uwolnić ich nikt nie przychodzi, szamocą się w bólu i oswobodzić pragną — niestety napróżno.

****

Zdania i myśli.

Straszna to boleść, gdy serce ukocha to, co kochania niegodne.

*

Trochę nauki oddala od religii, ale wielka nauka nakłania do niej człowieka.

*

Szlachectwo zobowiązuje, ale spełnienie obowiązków uszlachetnia.

Łamigłówki do nagrody

I.

Rodziła się Ona
W tej świata krainie,
Gdzie od Karpat łona
Piękna Wisła płynie.
Gdy miała wdziać stroje
Na weselne gody,
Myła czoło swoje
Wśród Bałtyku wody,
A ręce maczała
Przy Odrze i Dźwinie,
A nogi kąpała
W dalekim Euxynie.
Potem żmudzkie wianki
Włożyła na skronie,
Z Mazowsza równianki
Przypięła na łonie,
A Prusy zasłoną
Kibić okoliły;
Ruś, Litwa z Koroną
Sukienkę włożyły.
Miała dzielnych synów,
Którym świat zdumiony
W nagrodę ich czynów
Oddawał korony.

Sąsiad im hołdował,
I otwierał bramy,
Za pomoc dziękował,
I wieńczył laurami.
Na obcych zagonach
Dla Matki miłości
W wszystkich świata stronach
Bieleją dziś kości.
Jej walecznych dzieci,
Którym sława świeci.
Długo ta niewiasta
Żyła wśród swobody,
Budowała miasta,
Okazałe grody.
Trzej sąsiedzi byli,
Co jej wolność wzięli,
I zadali rany,
Zakuli w kajdany.
Żyje Bóg na niebie,
Nie opuści Ciebie,
Będziesz pocieszona,
Czy wiecie: kto Ona?

Ul. Madeyski.

UWAGA. Euxyn jest to grecka nazwa morza Czarnego.

II.

Pierwsze i *trzecie*
U silnych ludzi znajdziecie.
Trzecie, pierwsze w wodzie pływa,
Często zeń potrawa bywa.
Drugie, trzecie, gdy śnieg wieje,
Budzi w podróżnym nadzieję.
Całość znaczy króla mężnego,
W dziejach Polski wsławionego.

Rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać **tylko na pocztówkach** najpóźniej do 5. stycznia 1911 na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w numerze za dwa tygodnie.

Rozwiązanie

łamigłówki zamieszczonej w nr. 51:

T	a	t	r	y
O	p	o	l	e
W	o	ł	g	a
W	i	s	ł	a
P	o	t	o	p
B	r	o	n	a
W	o	j	a	k

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Felicya Brachlówna, Marya Chciukówna, Michał Chciuk, Wł. Dubaj, R. Frączkówna, Emilia Franz, Michał Geneja, Marya Haass, Leonarda Hodoly, W. Hyla, Leszek Jaworski, Józef Kelner, Aleksandra Korotkiewiczowa, Jerzy Krużotek, Romuald Kulczycki, Adela Lorenz, Z. Maślakiewicz, Karol Pacuła, Franciszek Pawliczek, Ludmiła Podolska, Wilhelm Rückemann, F. Schille, Celestyn Schöffer, Feliks Ślusarczyk, Maryla Spitzerówna, Józefa Steindl, Kazimierz Szeliga, Jan Szporek, Walerya Tatara, Anna Wełnianka, J. Wilusz, Żelechowski.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska:

pp. Jadwiga Adamczewska, B Arndtówna, Agnieszka Błaszczyk, Irena Bochańska, Kazimiera Bosiacka, Ludwik Bróździński, Franciszek Ciałoń, Janina Cichocka, Halina Czyżewska, Regina Dąbrowska, Danuta Doleżych, Maryan Frydrycho- Paweł Garus, Józefa Goślińska, Teresa Grabska, St. Graczyk, Stanisława Grobelna, Wincenty Herok, Br. Idziaszek, Wanda Idźkowska, Seweryn Jakubowski, „Janek z pod Góry Przemysława", Eleonora Jankowska, Zofia Jankowska, Ludwik Jarosz, Helcia Jędykiewicz, Tadzio Jordan, Wiktorya Kantecka, Michał Kasprzak, Kempa, Wikcia Kiełpińska, Stefcia Kiser, Konstancya Kolańczyk, Halina Konopińska, Pelagia Kopońska, H. Kornaszewska, St. Koszewski, Edzio Kowalski, Zygmunt Krajewski, B. Królikowska, Janina Lesicka, Stanisław Łysiak, W. Leszczyńska, 8t. Markowiak, Władysław Megger, W. Modrakowska, Halina Modrzejewska, Zofia Nowak, Jadwiga Orłowska, Joanna Pawłowicz, Hieronim Piechocki, Ignacy Pieróg, Stanisław Pietrzak, Stefania Płazalska, Ula i Zosia Plecińskie, Julia Płoszyńska, Ludwika Polaszyk, Tadeusz Przybyszewski, „Pustelnik z pod Środy", Marya Raczyńska, Roman Rogoziński, Halka Rywolt, Maryan Schroeder, Cecylia Sikorska, Wacław Sławiński, Marya Snowadzka, Wanda Stachowska, Wacław Szmidt, Jadzia Szudrowicz, J. Szulc, Franciszka Wawrziczek, Józef Wawrzynkiewicz, Tadeusz Węclewicz, Stanisław Welzandt, Franciszek Wesołek, Władziu Wicherski, Helena Wozikowska, Franciszek Woźnicki, Witosław i Bogumił Wróblewscy, Stanisława Wybrańska, Kazia i Staś Wrzyszczyńscy, Ludka, Jasinka i Zbisiu Zięciak.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Marya Andersz z Kastrop (Westfalia), Stefania Dużyńska z Nowych Wielcy (Brandenburgia), Tadzio, Henryś i Gincia Hankiewicz z Steglitz (pod Berlinem), Marya Jaszczołt z Berlina, Marylka i Zosia Kamzówne z Goltzen (Brandenburgia), Gertruda Konatkowska z Berlina, Tomasz Konieczny z Hamborn (Nadrenia), Stanisław Michalski z Kray (Nadrenia), Marya Molińska z Pankow (p. Berlinem), Władysław Naparty z Berlina, Piotr Nowak z Charlottenburga, Emilia Świątkowska z Monachium, Bronisława Szyszka z Herne (Westfalia), Czesława Wrońska z Berlina.

Nagrodę otrzymają:

pp. Wanda Idźkowska z Poznania, Stanisław Michalski z Kray (Nadrenia), Leonarda Hodoly z Rudek (Galicya), Michał Kasprzak z Czerminka (powiat Pleszew.)

Reklamy.

Kaszlącym zwracamy uwagę na ogłoszenie o *Thymomel Scillae,* przez lekarzy zapisywany i bardzo skuteczny preparat.

Światłą głowę! Silne nerwy! Zdrowy sen! mamy a żadnych bólów piersi ni szyi, odkąd używamy fluidu Fellera z marką „Elsa-Fluid“, gdyż on uśmierza bóle, usuwa osłabienie i orzeźwia, 1 tuzin 5 koron franko. My nie znamy żadnych dolegliwości żołądknwych, kurczów odbijania, ani gniecenia odkąd używamy rabarbarowych przeczyszczających pigułek Fellera z marką „Elsapillen“ 6 pudełek, franko 4 korony. Dostarcza E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260, Kroacya.

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznem w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacye o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjętacyę w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,
miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności,
wychodzi we Lwowie pod redakcyą Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Prąktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły“ wynosi:

rzcznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:

rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 - 2 „

Adres redakcyi i administracyi:
Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Nadzwyczaj zajmująca gra towarzyska

„KABAŁA“

Karty w języku polskim słynnej wróżkj p. **Lenormand** w Paryżu. Komplet 36 kart kolorowych w ozdobnej teczce wraz z objaśnieniami, wysyła po otrzymaniu **1 K. 25 h.** (także w znaczkach pocztowych)
Michał Horowicz,
dom wysyłkowy
w Krakowie I. 57. B.

Przy wszelkich zakupnach prosimy powoływać się na ogłoszenia :: w piśmie naszem ::

8
niezmiernie ciekawych powieści

Tajemnice wielkiego miasta
na tle głośnych wypadków (430 stron)

Złośliwy figiel - Czerwonym szlakiem
na tle dziejów Szertok Holmesa (320 stron)

Róża czarna i róża biała
na tle stosunków amerykańskich (240 stron)

Skarb więźniów - Przygoda greka

Tańczące znaki i Samotna cyklistka.

Wyżej wymienione nadwyraz interesujące powieści

zamiast **13 Kor. 70 hal.**

po wyjątkowej cenie **7 Koron**

wysyła franko za poprzedniem nadesłaniem należytości.

„GWIAZDA“

Poznań,
ul. Wilhelmowska nr. II.

Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

Marya Rodziewiczówna.

NR 53

JERYCHONKA

POWIEŚĆ.

I.

Magda Domontówna wróciła około południa do swojej pracowni z dalekiego po za miasto spaceru. Pęk jesiennych stokroci i astrów włożyła do wody w dzbanie i ustawiła niedaleko stalug. Potem zdjęła z siebie okrycie, włożyła bluzę roboczą, obejrzała farby i pendzle, spojrzała na zegar.

— Hm, robię się pedantką i punktualną. To dowód dojrzałości... Marynia się ucieszy! — rzekła sama do siebie z wesołym uśmiechem.

Otworzyła okno i wychyliła się przez nie, ciesząc się z ślicznym wrześniowym dniem i słońcem, które zalewało pracownię. Coś nucąc, spoglądała na dziedziniec, gdzie bawiły się dzieci i gruchało stado gołębi. Naprzeciw, w oficynie, przez otwarte okna słychać było gromadne czytanie. Widocznie była tam szkoła.

Na środku podwórza stara lipa wyciągała ku słońcu konary i jedna jej gałęź, napół złota, pochylała się ku oknu pracowni.

Magda wyciągnęła rękę, ale było daleko, aby choć listek ująć.

— Może jeszcze za rok — szepnęła. — Może na wiosnę podamy sobie ręce. A może uschniesz?

Zamknęła okno, poszła do stołu, zarzuconego szkicami i papierami i wzięła stare, wytarte album.

Wyciągnęła się na kanapie i zaczęła je przerzucać. Czego tam nie było! Krajobrazy i studya, karykatury, gmachy, szkice, zwierzęta, typy.

Powoli, kartka po kartce przesuwały się zarazem wspomnienia. Wyraziste rysy artystki zmieniały się przy każdej stronnicy. Przeżywała na nowo te wrażenia, które czuła wtedy, gdy rzucała na papier te obrazki w swoich artystycznych wędrówkach.

Tymczasem głośne czytanie w szkole ucichło, rozległo się suwanie sprzętów i wnet na podwórze wysypał się rój dziewczątek; zaszumiało chychotem, piskiem, nawoływaniem.

Jednocześnie prawie drzwi mieszkania Magdy ktoś otworzył, rozległ się gruby głos, najpierw w kuchni, potem w przedpokoju, i jak burza wpadła do pracowni kobieta wysokiego wzrostu, chuda i zamaszysta, o siwiejących włosach, ubrana czarno.

— Magda, jesteś już?

— Jestem! — odparła artystka, nie przestając przerzucać kartek.

— No, dzięki Bogu. Myślałam, że znowu z twojej łaski będę musiała bawić twoją baronową, zamiast myśleć o obiedzie. Co robisz?

— Bawię się. Wiesz, ten nasz album z podróży. Jakbym tam była znowu!

— Dzięki Bogu, że to się skończyło. Ale kupiłaś jabłek?

— Jabłek?

— No, przecież ci mówiłam, że kucharka zapomniała, a żeś miała iść przez rynek, obiecałaś przynieść.

— A prawda! — podniosła głowę i zamyśliła się zupełnie seryo. — Byłam na rynku, alem zapomniała, co mianowicie miałam kupić. Nie przypomniałam sobie, więc wzięłam kwiatów na straganie. Ot, tam stoją.

— Dziękuję ci! Dostaniesz je na wety, bo ja nóg nie mam biegać za ciebie. Nigdy rachować na ciebie nie można.

— Ciekawam, com gorszego od kucharki? Jej wolno było zapomnieć, a mnie nie? Patrz tu, poznajesz? To ty jesteś na widok frutti di mare w Wenecyi!

— Pfuj! Jeszcze mi stoją w oczach; a ten swąd! O, żem już mój Kraków zobaczyła!

— Nie pojechałabyś znowu ze mną?

— Za nic! Za nic.

— A ja choćby jutro!

— Zwaryowałaś... Masz tyle obstalunków.

— To i cóż? Mogą poczekać. Czekałam i ja na nie. Pojedziemy, Maryniu!

— Ani myślę. Dosyć głupstw. Siedź i pilnuj roboty, która ci chleb daje. I jeszcze jaki! Co prawda, dogadzając ci w twojej pasyi do malarstwa. nigdym nie pomyślała, że z tego będzie jaki rzetelny pożytek.

— Dlaczegoż więc męczyłaś się tyle lat dla mnie w Dreźnie, Monachium i Włoszech? Myślałam, że wierzysz we mnie!

— At, naprawdę, kiedym objęła nad tobą opiekę, miałaś piętnaście lat: fatalny wiek! Wolałam z dwojga złego, żebyś smarowała płótna, niż w bezczynności zaczęła marzyć o oficerach.

— Malarzy kolegów toś się nie lękała! — zaśmiała się Magda.

— Te brudasy, waryaty! Zresztą, tam w szkołach to cię Filip pilnował. Byłam spokojna.

— Więc to Filip był moim aniołem-stróżem z twojego ramienia? Patrz, tu jest Filip, jak mu Anglik położył Bädeckera na świeżej podmalówce.

— Nie wspominaj mi tego chłystka! — burknęła. — Przez rok mógłby choć słówkiem się odezwać. Ale mu spadek w głowie przewrócił. Potrzebne mu były te krocie! Mógłby mi co dać na szkołę przynajmniej, ale on się nawet nie pochwalił, nie spytał o radę...

Magda zatrzymała oczy na ostatniej kartce albumu. Był na niej stary mur przy Via Appia, pamiętający Cezarów, zwalisko potężne, z ciemnej cegły, którą bluszcze spoiły. Płoty z suchego winogradu i ciernia okalały olbrzyma, a na jego szczycie wiek XIX-ty postawił czerwony słupek z izolatorem telegrafu. Drut przecinał szafir nieba; siedziały na nim dwie jaskółki przelotne, tuląc się do siebie.

— Wiesz, co się z tymi ptaszkami stało? — rzekła, pokazując siostrze obrazek. — Jedna uleciała, druga padła martwa. Znaleźliśmy ją w cierniach i pochowali w papierośnicy Filipa u stóp tych ruin.

— Trzebaż takie głupstwa pamiętać!

— A bo to nie było ostatnie, cośmy razem popełnili. Tegoż wieczora przyszła owa sławna depesza z Wiednia o spadku i Filip pojechał.

— Będzie temu dwa lata. Dwa lata słowa nie napisać! Pracownia jego kosztuje mnie dwieście reńskich rocznie. Ciekawam po co ja płacę? On już malować nie będzie!

— Pozwól mi ten koszt ponosić i nie mów źle o nieobecnych. Muszę mojego anioła stróża wziąć w obronę. Ma wstręt do listów, wiesz o tem dobrze; przytem świat wielki, a on zawsze marzył, aby go zwiedzić. Jest teraz może na Alazce lub na Borneo. Z kolei przyjedzie i do Krakowa.

— Dużo rzeczy toleruję, lecz tracenia pieniędzy w podróżach wcale nie rozumiem. Włóczyliście mnie po wszystkich włoskich dziurach i kazaliście się zachwycać! Czem, proszę? Skała, woda, drzewo, niebo... to mi osobliwość! Tylko jedzenie tam jest osobliwie obrzydliwe i żebractwa więcej niż gdzieindziej! Ale po to nie warto jechać tyle dni i godzin.

— Widzę, że stanowczo nie dasz się na powtórzenie wędrówki namówić. Muszą zaproponować panu Sylwestrowi, aby mi towarzyszył.

— No, no, bardzo proszę! Gotowaś dla żartu to zrobić, a on uwierzy. Tegoby tylko brakło, żeby się go nigdy nie pozbyć.

— Co on ci szkodzi? Zacności człowiek.

— Doprawdy? Człowiek w jego wieku, żeby był zacny, toby siedział u św. Barbary, nie u ciebie. Modliłby się o śmierć szczęśliwą, ale nie przewracał oczu do młodej dziewczyny, która może być jego wnuczką.

— Wiesz, muszę wyrysować twoją minę, gdy mnie pan Sylwester ukradnie, bo uważam, że dobrowolnie mnie za niego nie dasz.

— A nie dam, bo to byłby nonsens. Gadałaś zawsze o kapłaństwie sztuki: bardzo pięknie. Chcę w to wierzyć, ale tylko w kapłaństwo bezżenne, jakem prawa katoliczka. Bądź-że sobie kapłanką, bo do niczego więcej nie jesteś zdatna. Zastanów się, w jakim stanie byłby obiad twego męża i jego bielizna! A też dzieciska nieszczęsne odrazu dla uratowania ich od śmierci trzebaby oddać do podrzutków!

— To też projekt genialny. Idę za mąż! rozwiązałaś jedyną kwestyę, która mnie powstrzymywała w oddaniu ręki i serca panu Sylwestrowi.

— Tobie wszystko służy za powód do uśmiechu. Rany Pańskie, ktoś dzwoni! To pewnie baronowa do portretu, a tutaj kurzu i śmieci po kostki. Otwórz okna, niech tylko terpentyna wywietrzeje.

— Ani myślę. Terpentyna utrzymuje moje makaty od najścia moli, a mnie jest koniecznie do życia potrzebna. Dawajże tu tę belladonnę.

Wstała dość opieszale i zrzuciła zasłonę ze stalug. Ukazał się nawpół podmalowany portret bardzo pięknej kobiety w stroju balowym. Cała w bieli stała wyzywająca, chłodna, na tle wschodniej makaty.

Portret przepysznie się zapowiadał, wart sławy Magdy Domontówny, która przed rokiem dostała złoty medal w Salonie paryskim.

Spojrzała na swe dzieło i umaczywszy szmatę w terpentynie, starła fałdę materyi, potem pilnie zaczęła ją przemalowywać.

W tej chwili baronowa weszła do pracowni, rzuciła na stół karton i rzekła, rozpinając stanik:

— Tym razem ja się spóźniłam, lecz to wina fryzyera, który mi nie mógł dogodzić. Pani już przy pracy?

— Zaledwie od minuty.

Obejrzała się na piękną panią, rozbierającą się przed zwierciadłem i uśmiechającą się do siebie samej z lubością zupełnego zadowolenia.

Była bardzo piękna i ślicznie zbudowana, wyglądała na dziewczynę dwudziestoletnią, a miała lat trzydzieści i od dwóch lat rozwiedziona była z mężem, którego znano w Krakowie, bo służył tam dłuższy czas w wojsku; po zerwaniu z żoną wyniósł się i przepadł bez wieści. Ojciec baronowej, aferzysta wiedeński, w Krakowie był znany jako dostawca wojskowy i tamże sobie żonę wynalazł, zbogaconą mieszczkę, która mu wniosła w posagu dwie kamienice i sporo gotówki. Skutkiem jakichś tajemniczych zawikłań w interesach musiał się z Austryi wynieść. Podróżował wiele z żoną, za granicą im się córka urodziła i tam ją wychowano, tam też stary umarł. Po jego śmierci wdowa zjechała do Krakowa z fortuną poważną i piękną panną na wydaniu.

Tymczasem ludzie trochę zapomnieli o powodzie dobrowolnej banicyi, resztę zatarły posag i uroda panny, i nikt się nie zdziwił, gdy złożyły wizyty i weszły do towarzystwa.

Coś w niespełna rok rotmistrz Faustanger o pannę się oświadczył i został przyjęty.

Małżeństwo to nie długo cieszyło się sobą. Po dwóch latach rotmisrz przeniósł się do Styryi, piękna Alicya wróciła do matki.

Mówili jedni, że on był gwałtowny i zazdrosny, drudzy, że ona nudziła się w Krakowie, gdzie męża stale trzymała służba.

Te panie zeszły ludziom na jakiś czas z oczu, a gdy o nich trochę zapomniano, wróciły znowu i odtąd co rok spędzały tu kilka miesięcy, których stara radczyni używała do interesów, młoda pani do odpoczynku po zagranicznych sezonach.

Magda znała baronową od wiosny. Zamówiła portret, pozowała razy kilka i wyjechała do Ostendy, bo jej się zdało, że ma reumatyzm, a troskliwość o zdrowie posuwała do dziwactwa. Teraz, za powrotem, przebłagała artystkę i znowu regularnie przychodziła co dzień do pracowni.

Magda nie mogła się oprzeć piękności tej twarzy i kształtów; miała prawdziwą przyjemność umysłową w rozmowie z nią. Przyznawała jej wykształcenie wszechstronne, wdzięk rzadki, łatwość obejścia i rozmowy; lecz pomimo to wszystko nie czuła do niej sympatyi, przeciwnie — nieprzepartą nieufność i jakby strach. Przezwała ją żartem bella donną i nazwa ta krążyła po mieście, gdzie artystka miała całe legiony znajomych, przyjaciół i kolegów i lubiona była ogólnie.

Baronowa ubrała się szybko i stanęła do pozowania. Magda przyjrzała się uważnie, zmieniła trochę układ postaci i usiadła przed stalugami.

Ciąg dalszy nastąpi).

Conan Doyle.

Przygody brygadyera Gerarda.

Powieść z czasów napoleońskich.

Bandyta „Uśmiechnięty".

(Ciąg dalszy).

Ale nawet wobec takich ciężkich okoliczności zachowywałem się, jak człowiek, którym jestem, a gdy zacząłem im się powoli bystro przypatrywać, żaden z tych opryszków nie śmiał mi spojrzeć bystro w oczy.

To jedno jedyne spojrzenie dokoła wystarczyło dla mnie, aby się przekonać dokładnie o mojem położeniu. Ci chłopi zdradzili mnie jednemu z posterunków gerylasów.

Było ich ośmiu, dziko wyglądających, brodatych i obrośniętych, jak małpy, w wielkich kapeluszach i bluzach o wielu guzikach, a mieli na sobie prócz tego jaskrawe pasy. Każdy miał w ręku strzelbę i prócz tego jeden lub dwa pistolety za pasem.

Przywódca, wielki, brodaty chłop, przysunął lufę karabinu do mego ucha, podczas gdy inni przeszukiwali moje kieszenie; zabrali mi płaszcz, pistolet, lunetę, pałasz, a co najgorsze — hubkę, krzesiwko i kamień.

Mogło się dziać, co chciało, byłem zrujnowany, gdyż nie posiadałem już środków do podpalenia stosu, nawet, gdybym się do niego dostał.

Ośmiu drabów tego pokroju i trzech chłopów, panowie, a ja zupełnie bezbronny! Czy Stefan Gerard rozpaczał z tego powodu? Czy stracił przytomność umysłu?

Oh, znacie mnie za dobrze, panowie, ale ci przeklęci bandyci nie znali mnie jeszcze. Nigdy jeszcze nie wytężałem tak całego mego umysłu, jak właśnie w tej chwili, gdy wszystko wydawało się być straconem. Nie wpadniecie coprawda na to, choćbyście myśleli do końca świata, jakiego użyłem podstępu, aby się wydostać z ich rąk; posłuchajcie zatem, a opowiem wam.

Wytargali mnie z wozu i zrewidowali, a ja stałem jeszcze pokurczony i połamany między nimi. Sztywność zaczęła powoli ustępować, a ja myślałem ustawicznie, w jaki sposób im się wymknąć.

Posterunki opryszków ustawione były w wąskim wąwozie. Poza nim wznosiła się stroma skała, a ku przodowi spadał teren, jak dach ku oddalonej dosyć dolinie, zarośniętej krzakami. Te draby biegliby prędzej tak pod górę, jak na dół, niż ja.

Na nogach mieli abarkasy, czyli trzewiki ze skóry wołowej, przytwierdzone do nóg jak sandały, to też mogli wszędzie znaleść oparcie. Mniej rezolutny człowiek odemnie byłby rozpaczał.

Ale zauważyłem natychmiast szczególną szansę, którą mi zesłała pani Fortuna, i skorzystałem z niej. Na samym brzegu stoku stała jedna z beczek od wina. Zacząłem się niepostrzeżenie i powoli do niej przysuwać, a potem szybko jak tygrys wskoczyłem do niej nogami naprzód. Szybkie pchnięcie, beczka przewróciła się na bok i potoczyła piorunem w dół.

Nie zapomnę nigdy tej strasznej podróży, panowie... z jakim piekielnym hukiem ta beczka w dół się toczyła! Kolanami i łokciami oparłem się o ściany beczki, tak, iż tworzyłem zwarty tłomok, przez co nadawałem beczce zdolność oporu i potrzebną równowagę. Ale głowa wystawała z otworu, a tylko cudowi jakiemuś mam do zawdzięczenia, iż nie rozbiłem sobie czaszki.

Po łagodnie spadających miejscach beczka toczyła się znośnie, ale na więcej stromych wyprawiała koziołki, skakała w górę, a potem z trzaskiem padała na ziemię, tak, iż wszystkie kości chodziły we mnie, jak pogruchotane.

Wiatr świszczał mi w uszach, w głowie huczało mi, jak we młynie, zrobiło mi się słabo, dostałem zawrotu głowy i byłem bliski omdlenia.

Potem usłyszałem trzask łamanych gałęzi: dostałem się więc do krzaków, które widziałem z góry.

Ekwipaż mój pędził tymczasem bez przerwy przez otwarte pole, wpadł do drugiego zagajnika,

wyrżnął wreszcie o jakiś pień i rozleciał się w kawałki.

Wskutek strasznych wstrząśnień byłem bardzo osłabiony, a miałem takie uczucie, jak wówczas, gdy po raz pierwszy poznałem na morzu te ruchy, które wywołują chorobę morską.

Musiałem na chwilę spocząć obok ruin mego wehikułu i oprzeć głowę na rękach. Na dłuższy odpoczynek nie było czasu, gdyż już nad sobą słyszałem strzały, znak, iż moi prześladowcy znajdowali się tuż za mną.

Wpadłem w największą gęstwinę i pędziłem, pędziłem, dopóki nie padłem zupełnie z sił wyczerpany. Nic się nie poruszało. Pozbyłem się mych wrogów.

Gdy przyszedłem do siebie, udałem się natychmiast w dalszą drogę. Po kolana brodziłem we wodzie przez różne strumienia, gdyż przyszło mi na myśl, że mogli mnie ścigać przy pomocy psów.

Wydostawszy się na wolne miejsce, gdzie mogłem się rozglądnąć dokoła, spostrzegłem ku mej największej radości, iż mimo mych przygód nie oddaliłem się zbytnio od mego celu.

Nademną wznosił się szczyt Merodal z gołym, śmiałym czubem, który wystawał z lasów dębowych, okalających jego boki. Te gaje karłowatych dębów tworzyły dalszy ciąg gęstwiny, która mi właśnie służyła za ochronę. Sądziłem, iż nie mam potrzeby obawiania się czegoś, skoro się tylko wydostanę na drugą stronę.

Coprawda, zdawałem sobie z tego jasno sprawę, iż każdy człowiek był moim wrogiem, że nie miałem przy sobie żadnej broni i że dokoła mnie znajdowało się wiele narodu. Nie widziałem nikogo, od czasu do czasu słyszałem jednak ostre gwizdanie a raz nawet strzał w oddali.

Była to ciężka praca, to posuwanie się naprzód przez gęstwinę, to też ucieszyłem się wielce, gdy wydostałem się wyżej i znalazłem ścieżynkę. Naturalnie nie byłem tak głupi, abym sam z niej korzystał. Trzymałem się w jej pobliżu i szedłem za jej biegiem.

Szedłem tak przez pewien czas i sądziłem, że znajduję się już niedaleko skraju lasu, gdy posłyszałem jakiś szczególny szmer, coś jakby jęk. Z początku myślałem, że to głos jakiegoś zwierzęcia, ale niezadługo usłyszałem słowa, z których mogłem rozróżnić tylko dwa francuskie:

— Mon Dieu!

Z największą ostrożnością udałem się w kierunku, z którego mnie głos dochodził.

I co się ukazało moim oczom?

Na łożu z suchych liści leżał człowiek, mający na sobie ten sam szary mundur, który i ja miałem na sobie. Był najwidoczniej ciężko ranny, gdyż chustka, którą przyciskał do piersi, była cała czerwona od krwi. Dokoła jego łoża znajdowała się kałuża krwi, a nad nim unosiły się takie masy much, że z pewnością ich brzęczenie i bzykanie byłoby zwróciło moją uwagę, gdybym nawet był nie słyszał jęku.

Zatrzymałem się najpierw przez chwilę, ponieważ obawiałem się pułapki, potem jednak litość i przywiązanie przemogły wszelkie inne uczucia i w jednej chwili klęknąłem obok rannego.

Był to Duplessis, który wczoraj wyjechał na podpalenie stosu. Spojrzał na mnie, jak nieprzytomny. Jedno spojrzenie na jego zapadłe policzki i przygasłe oczy powiedziało mi, iż człowiek ten jest umierający.

— Gerard — szepnął. — Gerard!

Mogłem tylko spojrzeć na niego z uczuciem wielkiej litości, ale on, ten dzielny człowiek, myślał jeszcze o swoim obowiązku, aczkolwiek był już bliskim śmierci.

— Stos, Gerardzie! Czy chcesz go podpalić?

— Masz kamień i stal?

— Oto one.

— W takim razie podpalę go jeszcze dziś w nocy.

— Umieram z tą świadomością. Postrzelili mnie, Gerardzie. Powiedz marszałkowi, że uczyniłem wszystko, co było w mej mocy.

— A Cortex?

— Ten był jeszcze nieszczęśliwszy. Wpadł w ich ręce i zginął straszną śmiercią. Gdy spostrzeżesz, iż nie będziesz mógł im uciec, wpakuj sobie sam kulę w łeb, abyś nie musiał umierać, jak Cortex.

Spostrzegłem, iż tylko z trudnością wydobywa ze siebie słowa i pochyliłem się ku niemu, aby lepiej słyszeć.

— Czy możesz mi dać jeszcze jaką dobrą radę, abym mógł się dobrze wywiązać z mego zadania? — zapytałem.

— Tak, tak; de Pombal. On ci pomoże. Zaufaj de Pombalowi.

Po tych słowach pochylił się w tył i wyzionął ducha.

— Zaufaj de Pombalowi. To jest dobra rada — powiedział.

Ku memu zdumieniu, tuż koło mnie, stał jakiś człowiek. Słowa mego towarzysza tak za-

jęły całą moją uwagę, iż mógł się zbliżyć do nas, a ja go nie zauważyłem.

Skoczyłem z kolan i spojrzałem na niego.

Był to wysoki, o ciemnej cerze człowiek; włosy, brodę i oczy miał czarne, a na twarzy jego spoczywał wyraz jakiegoś smutku. W ręku trzymał butelkę z winem, a przez ramię miał przewieszoną strzelbę, jaką noszą gerylasi. Nie zdejmował jej z ramion, a ja poznałem natychmiast, iż jestto ten człowiek, którego mi polecił mój umierający towarzysz broni.

— Ah, umarł już! — rzekł, pochylając się nad Duplessisem. — Uciekł w gęstwinę, otrzymawszy kulę w piersi. Na szczęście znalazłem go w miejscu, gdzie padł i mogłem w ten sposób ulżyć jego ostatnim godzinom. To łoże jest mojem dziełem, a wino przyniosłem, aby złagodzić jego pragnienie.

— Panie — rzekłem do niego — w imieniu Francyi dziękuję panu. Jestem tylko pułkownikiem huzarów, ale jestem Stefanem Gerard, a nazwisko to ma dobry dźwięk w armii francuskiej. Czy wolno się zapytać...

— Tak jest, panie, nazywam się Alojzy de Pombal i jestem młodszym bratem znanego szlachcica tego samego nazwiska. Obecnie jestem pierwszym porucznikiem w bandzie gerylasów pod Manuelem, którego zwykle nazywają „Uśmiechniętym".

Panowie, chwyciłem w to miejsce, gdzie powinien się był znajdować mój pistolet, ale de Pombal roześmiał się tylko, patrząc na ten ruch...

— Jestem jego pierwszym porucznikiem, ale zarazem jego śmiertelnym wrogiem — rzekł.

Rozpiął bluzę i odsunął koszulę.

— Spojrz pan tutaj! — zawołał i pokazał mi swoje plecy, na których miał stare i nowe, sine i czerwone pręgi. — To tak mnie „Uśmiechniety" obdarzył, mnie, człowieka z najlepszej krwi i rodu w całej Portugalii. Jak się na nim pomszczę, zobaczysz pan niezadługo.

Z oczu jego biła taka wściekłość, tak zgrzytał zębami, iż nie mogłem powątpiewać o prawdzie słów jego, tem więcej, iż potwierdzały ją jego krwawe pręgi na plecach.

— Mam jeszcze dziesięciu ludzi, którzy trzymają ze mną — mówił dalej. — Za kilka dni mam nadzieją przymknąć do pańskiej armii, gdy tutaj dokonam już mego dzieła. A tymczasem...

Twarz jego nabrała nagle jakiegoś szczególnego wyrazu, zerwał nagle broń z ramienia i krzyknął:

— Ręce do góry, ty przeklęty Francuzie! Ręce do góry, albo ci kulę wpakuję w łeb!

Dziwicie się, panowie! Zdębieliście!? Pomyślcie sobie tylko, jak ja wtedy zdębiałem i dziwiłem się temu niespodziewanemu zwrotowi w naszej rozmowie.

Widziałem czarny otwór karabinu, a po za nim błyszczące, czarne oczy. Co było począć? Byłem bezsilny. Wyciągnąłem ręce do góry.

Jednocześnie usłyszałem ze wszystkich stron ludzkie głosy, krzyki, nawoływania i tupot wielu nóg. Kupa strasznych postaci wypadła z krzaków, kilka par silnych rąk pochwyciło mnie i ja, nieszczęśliwy, po raz drugi znalazłem się w niewoli gerelasów.

Na szczęście nie miałem przy sobie pistoletu, abym mógł sobie własną ręką wpakować kulę w łeb. Gdybym w tej chwili był uzbrojony, nie siedziałbym teraz tu w kawiarni i opowiadał wam o tych dawnych czasach, panowie.

Silne, obrośnięte łapy trzymały mnie ze wszystkich stron, prowadzili mnie opisaną już przezemnie ścieżką przez las, a ten łotr de Pombal wydawał przy tem rozkazy. Czterech opryszków niosło zwłoki mego towarzysza, Duplessisa.

Gdy wyszliśmy z lasu na wolne pole, słońce było już bardzo nisko. Popędzono mnie na górę, aż nareszcie dostaliśmy się do głównej kwatery gerylasów, znajdującej się w jarze pod szczytem. Tam spostrzegłem też i stos drzewa, który miałem okupić tak drogo. Stos ułożony był w czworobok, a znajdował się tuż nad nami. Trochę niżej znajdowały się dwie, czy trzy chaty, należące najprawdopodobniej do pasterzy kóz; w chatach tych gnieździli się bandyci.

Wpakowano mnie do jednej z nich, związano a obok mnie położono zwłoki mego biednego Duplessisa.

Gdy tak leżałem, dręczyła mnie tylko jedna myśl, jak ja za kilka godzin podpalę ten stos nademną.

Nagle drzwi się otworzyły i do chaty wszedł jakiś człowiek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Ogarnia ją chłód, dreszcz, zęby szczękają, ale idzie, bo dzwony wołają. To nie dzwony, to młoty w kuźni, co stoi za dworem w Górowie.

I oto ją ogarnia żar kowalskiego ogniska, ale jaki żar: to ona sama płonie, ona leży w żarze. Rzuca się, chce się cofnąć, osłania głowę, ale to ojciec miechem dmie i ojciec ją tak rozpaloną, jak sztabę metalu, kładzie na kowadle, a tłum ludzi jest w koło, ludzi z młotami i te młoty spadają na jej głowę, spadają, walą, tłuką, miażdżą, bolą, bolą, bolą.

Patrzy, kto bije, patrzy, wszyscy są i Andrzej, i Wolskie, i macocha, i Radlicz, i stara Markhamowa i Tunia, a wreszcie widzi nad sobą złe oczy Boguckiego i młot wzniesiony i uderzenie...

— O Stachu! ty nie bij! ty nie bij! — szepce, potem już nic nie widzi, nic nie czuje, nic nie rozumie z rzeczy tego świata.

XIII.

Ranek posępny, zimny, ponury, ranek poniedziałkowy po zapustnej niedzieli. Miasto jeszcze śpi po wczorajszych balach, długo spać będzie, nabierze sił na ostatki. W powietrzu wiruje śnieg, patrzą nań z uciechą dorożkarze, z niechęcią stróże i policyanci. Oprócz nich, niema prawie publiczności na ulicach.

Stasiek Józefiak z gromadą kolegów roznosicieli, wylatuje na miasto z „Kuryerem". Leci chłopak i pogwizduje, jakby na gołębie, a właśnie przed Świętym Krzyżem spostrzega dwa, zapomina na chwilę o obowiązku, gapi się.

— Werfle! Ktości spłoszył, że się to tłucze w taki czas. Ciekawość — czyje?

Gołębie spadły na skwerek przy Koperniku, szukały żeru, spłoszone frunęły na ramię krzyża u figury Zbawiciela, tedy Stasiek tam spojrzał i zaczął czytać świeżutką żałobną klepsydrę.

Czytał, podszedł bliżej, palcem po literach poprowadził, obejrzał się, jakby kogo spytać chciał, spojrzał na zamknięte jeszcze drzwi krypty, i uspokojony, że nikt nie uważa, zerwał jedną klepsydrę i, wziąwszy nogi za pas, poleciał na Berga. Gnał, ile tchu, Erywańską, przerżnął Marszałkowską, wpadł na Pańską.

Tomaszowa, wyprawiwszy męża z dorożką na miasto, zabierała się do szorowania dzieci, gdy Stasiek wpadł zdyszany, zziajany i wrzasnął:

— Wiecie! Pani nasza umarła.

— Ola Boga! Jezu! Kto ci mówił!?

— Ot, klepsydra już u Świętego Krzyża. Czytajcie.

Tomaszowa nie umiała czytać, porwała papier i pobiegła z nim na facyatkę do Ambrozików.

Wtedy Stasiek przypomniał sobie „Kuryera" i chlipiąc, zgarbiony, powlókł się do swej roboty. A na facyatce u Ambrozików była już ciżba i napływało coraz więcej, tłoczyli się wszyscy, całe domostwo tam się zbiegło, mężczyzn, kobiet, dzieci, tłum szary, nędzny, i słuchali Ambrozika, który czytał, jąkając się:

„Kazimira ze Szpanowskich Sanicka, po krótkiej i ciężkiej chorobie zmarła 9-go lutego w wieku lat 23".

Po tłumie przeszła fala przeciągłego jęku i szlochania. Ambrozik odchrząknął, bo go coś dławiło w gardle, i kończył:

„Pogrążeni w głębokim smutku ojciec i mąż, zapraszają krewnych, przyjaciół i znajomych na nabożeństwo żałobne, odbyć się mające w kościele św. Krzyża dnia 11-go lutego o godzinie 11-ej zrana i na wyprowadzenie zwłok w tymże dniu i z tegoż kościoła, o godzinie 2-ej na cmentarz powązkowski".

Ambrozik skończył, pochylił głowę, w ramiona ją wtulił i tak oparty o warsztat, pasował się z buntem, który mu w piersi rósł, a kobiety wśród łkań i szlochań wołały:

— O Jezu, o Panienko Najświętsza, jakże my tak zostaniemy! Umarła! 23 lata! Toć chyba Boga niema, żeby taka umierała! Toć temu dziesięć dni jeszcze była! Tak się cieszyła, że u Józefiaków pozdrowieli. Nad Helą małą siedziała. Co jej się stało! Jako mogła umrzeć! Jak nam ją Bóg mógł zabrać! O Jezu, o Jezu!

— Sądzono nam zginąć! — ozwał się ponury głos męski.

— Chyba ją zabili! — wybuchnęła Tomaszowa. — Ja polecę do ich kamienicy! Takie państwo, a toćby ją z choroby odratowali.

— Matusiu, żebym ja choć ją raz jeszcze w trumnie zobaczyć mogła, moją złocistą! — szeptała Julka suchotnica.

— Zobaczysz ją w niebie, nieboże. Nie przyjdzie już do nas! Jezu, Jezu! Zabrał ją Bóg, jak anioła. Ludzie, chodźmy za nią pacierz zmówić, a juści, i na Powązki za nią pójdziemy!

— I tamci z nią chyba zostać odrazu, bo i po co wracać! — jęknęła Józefiakowa, która ledwie się zwlokła z choroby. — I Helę jej zaniosę! Jako ją odratowała, to niech ją ze sobą zabierze.

— Chodźmy do Świętego Krzyża!

Śnieg sypał coraz gęściej, kobiety ruszyły gromadą, pomimo perswazyi sąsiadek, wlokła się też Józefiakowa, z jakąś zaciętą rozpaczą. I niosła Helę, otuloną w chustkę, i ledwie szła, a gdy się dowlokła, tamte już wracały i sama znalazła się w krypcie. Pusto było i mroczno. Ruch uliczny się budził, ale nikt do umarłych nie szedł, boć karnawał żywych zajmował. Józefiakowa upadła na kolana!

Wysoko, wśród całych gajów roślin cieplarnianych, stała metalowa trumna, katafalk pierwszej klasy kosztował setki, imponował, ale Józefiakowa patrzała nań ponuro! Był to grób jej dzieci, jej doli, jej całej przyszłości. Nie modliła się, poczęła tej umarłej się skarżyć, wyrzucać, a wreszcie, znękana ostatecznie, zaniosła się rozdzierającym płaczem i łkała malutka Hela, nie rozumiejąc, co się stało, i chyba po przez światy duch Kazi ten płacz musiał słyszeć.

— Co wam, kobieto? Czego tak płaczecie?

Ktoś dotknął ramienia Józefiakowej. Obejrzała się, jakiś pan stał nad nią.

— Po mojej pani płaczę — wyjąkała.

— Służyliście u niej?

— Nie, ona ci nam służyła! Pan nie wie! My z Pańskiej ulicy. Nas tam zostało może ze stu ludzi, a wymarnieją bez niej. I po co ona mnie z tyfusu wyratowała i tego robaczka, po co się cieszyła, jak dziecko ożyło z gorączki. A sama od nas poszła! Jakie prawo miała nas rzucić? Chyba Boga niema na świecie!

Mężczyzna popatrzał na trumnę i długo stał nieruchomy.

„Kuryera“ już przeczytali ludzie; coraz wchodził do krypty to lokaj wygalowany, to chłopak od ogrodnika, to posłaniec, kładł każdy wieniec u stóp katafalku i wychudził spiesznie.

— Zaprowadźcie mnie do siebie! — rzekł wreszcie mężczyzna do Józefiakowej. — Pani mi was poleciła. Chodźcie!

U progu skinął na doróżkę, ulokował kobietę, pojechali. I szedł za nimi duch Kazi i słyszał w sobie Bogucki jej głos cichy i słodki:

— Stachu! — umiłowałam w życiu ciebie i twoją ideę. Teraz ci ich oddaję, tych moich, serdecznie moich. O Stachu, koili mi oni tęsknotę po tobie, byłeś ze mną przy nich! Takci i tobie będzie. Nie szukaj mnie wśród tych wieńców i nie idź zą tym prochem moim na Powązki! Ja tam nie będę, ja z tobą, Stachu serdeczny, wśród nich zostanę!

XIV.

„Kuryer“ był już rozniesiony. Czytał go Wolski, pijąc samotnie kawę. Żona i córki jeszcze odsypiały jakiś balik. Zbudził je bez ceremonii wołaniem:

— Słyszeliście? Awantura! A toć Andrzejowa umarła.

— Nie może być? Kiedy? — ozwały się senne głosy.

— Wczoraj. Już jest nekrolog. Pogrzeb we wtorek.

— Ile miała lat? Zkąd pogrzeb!

Rozbudziły się nowiną. W negliżach zeszły się do jadalni, czytały wszystkie.

— To się biedaczka wybrała w same zapusty! — westchnęła mama. — Ależ zgasła prędko. Prezes się okropnie zmartwi.

— No i Andrzej był onegdaj okropnie przybity gdym tam wstąpił po wieści.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wkrótce rozpoczniemy po skończeniu „Wspólnika garbarza“ i „Wrzosu“ druk bardzo zajmujących powieści.

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Dla czegóż świadek nie odpowiada na wezwanie? — spytał prezes.

— Obywatelu prezesie — rzekł Fouquier-Tinville — w skutku świeżej denuncyacyi świadek niedawno przytrzymany został w swojem mieszkaniu; zaraz go tu przyprowadzą.

— Maurycy zadrżał.

— Był drugi, ważniejszy świadek — mówił znowu Fouquier-Tinville — ale go jeszcze nie ujęto.

Dixmer z uśmiechem obrócił się ku Maurycemu; może myśl jaka pierwej przebiegła po umyśle kochanka, teraz przebiegła po umyśle męża.

Genowefa zbladła i jękła.

W tej chwili dwaj żandarmi wprowadzili Lorina.

Za nim temi samemi drzwiami wszedł Simon i jak zwykły gość tego miejsca zasiadł pomiędzy zgromadzonymi.

— Jak się nazywasz? — spytał prezes.

— Maksymilian Jan Lorin.

— Twój stan?

— Jestem człowiek wolny.

— Nie długo nim będziesz — rzekł Simon pokazując mu pięść.

— Czy krewny obwinionej?

— Nie, ale mam zaszczyt być jej przyjacielem.

— Czyś wiedział, że ona należała do spisku względem wykradzenia królowej?

— Skądże miałem wiedzieć o tem?

— Mogła ci się z tem zwierzyć.

— Mnie, członkowi sekcyi Termopilistów? Cóż znowu!

— Jednak widziano was nieraz rozmawiających.

— Nietylko nieraz, ale nawet bardzo często powinni mnie byli u niej widywać.

— Znałeś ją więc jako arystokratkę.

— Znałem ją jako żonę garbarza.

— Mąż jej tylko na pozór przybrał ten stan.

— Nic o tem nie wiem, nie jestem przyjacielem jej męża.

— Powiedz nam co o jej mężu.

— O! najchętniej! był to bardzo nikczemny człowiek...

— Panie Lorin, przez litość! — zawołała Genowefa.

Lorin obojętnie mówił dalej.

— Kto biedną kobietę, którą przed sobą widzicie, poświęcił dla zadosyć uczynienia osobistej zemście, nie zaś swojej politycznej opinii; pfe! tego stawiam ja równie prawie nisko jak Simona.

Dixmer zbladł. Simon chciał coś mówić, ale prezes skinieniem nakazał mu milczenie.

— Zdaje się obywatelu Lorin, że znasz dokładnie tę całą historyę — rzekł Fouquier-Tinville — opowiedz nam ją.

— Przebacz obywatelu Fouquier — rzekł Lorin wstając — powiedziałem wszystko, com wiedział.

Ukłonił się i usiadł.

— Obywatelu Lorin — mówił znowu oskarżyciel — obowiązkiem twoim jest objaśnić trybunał.

— Niech się objaśni tem, co powiedziałem, co do tej biednej kobiety, powtarzam, że jest niewinną, że jedynie gwałtowi uległa. Spojrzyjcie na nią tylko, czyż ona wygląda na spiskową? zmuszono ją, aby uczyniła to, co uczyniła i nic więcej.

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewny.

— W imieniu prawa żądam — zawołał Fouquier — aby świadek Lorin stawiony był przed trybunałem jako obwiniony o zmowę z tą kobietą.

Maurycy jęknął.

Genowefa w obu dłoniach twarz swoją ukryła, Simon wydając okrzyk wściekłej radości.

— Obywatelu oskarżycielu, źle ceniłeś ojczyznę! — zawołał.

Lorin nic nie odpowiadając, przeskoczył kratki, usiadł przy Genowefie i wziąwszy jej rękę z uszanowaniem ją pocałował.

— Dzień dobry, obywatelko — rzekł z zimną krwią, która wstrząsnęła całem zgromadzeniem. — Jakże się miewasz? — I zajął miejsce na ławce oskarżonych.

X.

Dalszy ciąg poprzedzającego.

Cała ta scena przebiegła przed wzrokiem Maurycego niby jakie fantasmagoryczne zjawisko. Oparty na rękojeści szabli, której nigdy nie opuszczał, widział, jak przyjaciele jego wpadają w otchłań, która już nigdy ofiar swych nie wraca, a ten śmiertelny obraz tak dalece był uderzający, iż pytał sam siebie, dlaczego on, towarzysz tych nieszczęśliwych, czepia się jeszcze brzegów tej otchłani i stawia opór obłędowi, który go wraz z nimi porywa?

Lorin przeskakując kratki, dostrzegł ponurą i szyderczą twarz Dixmera.

Jak powiedzieliśmy, Genowefa pochyliła się do jego ucha, skoro usiadł przy niej.

— O! mój Boże! — rzekła — czy wiesz pan, że Maurycy jest tutaj?

— Gdzie?

— Nie patrz pan na niego raptem, bo mógłbyś go tem zgubić.

— Bądź pani spokojna.

— Stoi za nami, przy drzwiach. Ileż cierpieć będzie, skoro nas na śmierć skarzą.

Lorin z czułem politowaniem spojrzał na młodą kobietę.

— Skarzą nas niewątpliwie — rzekł. — Zbyt okropnie uwodziłabyś się pani, gdybyś miała jeszcze jaką nadzieję.

— O mój Boże! — powiedziała Genowefa. — Ten biedny przyjaciel, sam jeden pozostanie na świecie!

Wtedy Lorin obrócił się ku Maurycemu, a Genowefa również nie mogąc oprzeć się podobnej pokusie, szybkie w jego stronę rzuciła spojrzenie.

Maurycy patrzał na nich, rękę trzymając na sercu.

— Jeden jest sposób ocalenia pani — powiedział Lorin.

— Czy pewny? — spytała Genowefa, a oczy jej zabłysły radością.

— O! ręczę, że pewny.

— Gdybyś mię pan ocalił Lorinie, jakżebym była panu wdzięczna.

— Lecz ten sposób... — mówił znowu Lorin. Genowefa po oczach jego poznała, iż waha się.

— I pan więc widziałeś go także? — spytała.

— Tak jest, widziałem. Czy chcesz pani być ocaloną? niech więc on z kolei siada na żelaznem krześle.

— To niepodobna — powiedziała Genowefa — już bym go dłużej nie mogła nienawidzieć.

— Powiedz pani raczej, że on zna twoją wspaniałomyślność i że cię wyzywa.

— Bez wątpienia, bo pewny jest siebie, mnie i nas wszystkich.

— Genowefo, Genowefo, ja nie jestem tyle doskonały co pani; pozwól mi pani niech go wpląCZę w naszą sprawę i niech zginie.

— Nie Lorinie, zaklinam pana, nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego, a nawet i śmierci; zdaje mi się, że sprzeniewierzyłabym się Maurycemu, gdybym umierała z Dixmerem.

— Ależ pani nie umrzesz.

— Jakżeż można żyć skoro on umrze?

— Ah! — powiedział Lorin — nie dziw, że Maurycy kocha cię pani! Jesteś istnym aniołem, a ojczyzną aniołów niebo. Biedny kochany Maurycy!

Tymczasem Simon, nie mogąc słyszeć co mówili między sobą oskarżeni, wzrokiem pożerał ich fizyonomie.

— Obywatelu żandarmie — rzekł — nie pozwalajże tym buntownikom, aby nawet w rewolucyjnym trybunale knuli spiski na rzeczpospolitą.

— Dobrze — odpowiedział żandarm — wiesz pewno obywatelu Simonie, że tutaj już nie czas knuć spiski, bo tutaj spisek długo trwać nie może. Oni tylko rozmawiają, a ponieważ prawo pozwala rozmawiać nawet na śmiertelnym wózku, dla czegóżby miało zabraniać tego w trybunale?

Tym żandarmem był Gilbert, który poznawszy osobę ujętą przez siebie w więzieniu królowej, z wrodzoną sobie uczciwością dawał dowody współczucia odwadze i poświęceniu.

Prezes naradziwszy się z asesorami, na żądanie Fouquier-Tinvilla rozpoczął badania.

— Oskarżony Lorinie — spytał — jakiego rodzaju stosunki miałeś z obywatelką Dixmer?

— Jakiego rodzaju, obywatelu prezesie?

— Tak jest.

Najczystsza przyjaźń serca nasze łączyła,
Jam jej lubym bratem, ona mi siostrą była.

oddeklamował Lorin.

— Obywatelu Lorinie — powiedział Fouquier Tinville — wiersz twój niegładki.

— Dlaczego — spytał Lorin.

— Jest w nim jedna zgłoska nazbyt.

— Obetnij ją obywatelu oskarżycielu, obetnij, to twoje zatrudnienie.

Na tak okrutny żart lekko zbladła twarz Fouquier-Tinvilla

— I jakiemże okiem — pytał prezes — obywatel Dixmer patrzał na związek człowieka, którego uważał za republikanina ze swoją żoną?

— O! na to nie zdołam odpowiedzieć, bom nigdy nie znał obywatela Dixmer i bardzo mi z tem było dobrze.

— Ale — przerwał Fouquier-Tinville — nie mówisz mi, że twój przyjaciel Maurycy Lindey, stanowił węzeł tak czystej przyjaźni pomiędzy tobą a oskarżoną.

— Nie mówię — odparł Lorin — bo wyjawienie takich rzeczy za złe uważam, a sądzę nawet, że i obywatel powinienbyś mię w tym względzie naśladować.

— Obywatele przysięgli — mówił Fouquier-Tinville — zechcą ocenić to szczególne przymierze dwóch republikanów z arystokratką, w chwili właśnie, kiedy ją przekonano o najczarniejszy spisek przeciw narodowi.

— Jakimże sposobem, obywatelu oskarżycielu miałem wiedzieć o tym spisku? — spytał Lorin oburzony raczej jak przestraszony tyle grubiańskim argumentem.

— Znałeś tę kobietę, byłeś jej przyjacielem, ona zwała cię bratem, ty ją siostrą, i nie wiedziałeś nic o jej postępowaniu? Czy podobna, jak sam zeznałeś — rzekł prezes — aby ona tylko wyłącznie dokonała czyn, jaki jej przypisano?

— Nie, ona go dokonała nie sama wyłącznie — mówił Lorin, wyrażając się technicznemi słowy prezesa — bo zeznała wam obywatelka, bo i ja zeznałem, że ją do tego zmuszał jej mąż.

— A więc jak można, abyś nie znał męża — wtrącił Fouquier-Tinville — kiedy on działał wspólnie z swoją żoną?

Dosyć byłoby, aby Lorin opowiedział pierwsze zniknięcie Dixmera, aby opisał miłość Genowefy i Maurycego, aby dał nakoniec poznać w jaki sposób mąż porwał swą żonę i ukrył ją w niedostępnem miejscu, a byłby się usprawiedliwił ze wszelkiego wspólnictwa, byłby wyjaśnił wszelkie trudności.

Ale tym sposobem byłby zdradzał tajemnicę dwojga swoich przyjaciół, byłby zawstydził Genowefę wobec pięciuset osób. Zwiesił więc głowę jakby sam sobie chciał powiedzieć; nie.

— I cóż! — spytał prezes — co odpowiesz na pytanie obywatela oskarżyciela?

— Że zabija swą loiką — rzekł Lorin — i że przekonał się o tem czegom się nigdy nie spodziewał.

— O czem-że to?

— Że jak się zdaje, jestem jednym z najokropniejszych buntowników, jakich dotąd widziano.

To oświadczenie wzbudziło powszechny śmiech, któremu się nawet sami przysięgli oprzeć nie mogli.

Fouquier uczuł całe znaczenie tego szyderstwa, a że niezmordowaną wytrwałością dociekł wszelkich tajemnic oskarżonych osób i znał je równie dobrze jak oni sami, nie mógł więc odmówić Lorinowi uczucia pełnej podziwu litości.

— No — powiedział — obywatelu Lorinie, mów, broń się. Trybunał wysłucha cię, bo zna przeszłość twoją, bo wie, żeś był dzielnym republikaninem.

Simon chciał coś powiedzieć, ale prezes dał mu znak aby milczał.

— Mów obywatelu Lorinie, mów, słuchamy cię.

Lorin znowu zwiesił głowę.

— Kto milczy ten przyznaje — rzekł prezes.

— Nie — odparł Lorin — kto milczy ten milczy i nic więcej.

— Jeszcze raz pytam — powiedział Fouquier-Tinville — czy będziesz mówił?

Lorin zwrócił się ku słuchaczom, pragnąc wzrokiem zapytać Maurycego co ma czynić. Maurycy nie dał mu znaku aby mówił, Lorin więc milczał. Sam siebie przeto potępiał.

Fouquier wyrozumował akt oskarżenia; prezes wyrozumował spory; przysięgli przystąpili do głosowania i uznali winnymi Lorina i Genowefę skazując oboje na karę śmierci.

Żandarmi odprowadzili Genowefę i Lorina, który jej podał rękę.

Oboje w oddzielny sposób ukłonili się Maurycemu. Lorin bowiem uśmiechnął się, Genowefa zaś blada i omdlewająca, łzą zmoczonemi palcami przesłała mu ostatni pocałunek. Aż do ostatniej chwili miała nadzieję że żyć będzie, nie płakała życia, ale płakała miłości, która wraz z życiem jej zgasnąć miała.

Maurycy przez pół szalony, nie odpowiedział na to pożegnanie przyjaciół swoich, ale wstał blady, obłąkany. Przyjaciele jego znikli. Ostatni raz spojrzał w około siebie i dostrzegł Dixmera, który wychodząc wraz z innemi widzami schylał się w sklepionych drzwiach korytarza. Szybko

skoczył Maurycy z ławki na ławkę i dostał się do tych samych drzwi. Dixmer był już za nimi. W chwili gdy dotknął nogą posadzki wielkiej sali, Maurycy położył mu rękę na ramieniu.

XI.

Pojedynek.

Położyć rękę na czyjem ramieniu, zbyt było ważną rzeczą w owej epoce.

Dixmer obejrzał się i poznał Maurycego.

— Ah, dzień dobry obywatelu republikaninie — rzekł Dixmer.

— Dzień dobry, obywatelu podły — odpowiedział Maurycy — spodziewałeś się mnie, prawda?

— Owszem, właśnie niespodziewałem się — odrzekł Dixmer.

— Dlaczegoż to?

— Bom się spodziewał daleko prędzej.

— Zbyt ja jeszcze wcześnie przybywam dla ciebie zbójco — przerażającym głosem a raczej szmerem dodał Maurycy.

— Twojemi oczami ogień na mnie miotasz — zaczął Dixmer. — Poznają nas i śledzić będą.

— Prawda, a ty boisz się, aby cię nie przytrzymano? boisz się, aby cię nie poprowadzono na rusztowanie, na które innych wyprawiasz? Ale ty tymczasem pomściłeś się, a pomściłeś nikczemnie, na kobiecie. Dlaczegoż, kiedy mówisz, że gdzieś na mnie oczekiwałeś, nie uczyniłeś tego w moim domu w dniu wykradzenia Genowefy?

— Sądziłem, żeś ty dał mi pierwej przykład tej kradzieży.

— No! — uderzając do szabli zawołał Maurycy — teraz możesz to nagrodzić.

— Jutro, jeżeli chcesz, ale nie dzisiaj.

— Dlaczego jutro?

— No, to dzisiaj wieczorem.

— Dlaczego nie zaraz?

— Ah! mości Maurycy — mówił Dixmer — doprawdy jesteś niewdzięczny. Jakto! przez pół roku pozwalałem ci snuć najdoskonalszą miłość z moją żoną; przez pół roku tolerowałem wasze schadzki, nie uważałem na wasze uśmiechy, wyznaj, iż prócz mnie żaden człowiek jeszcze nie dowiódł większej łagodności.

— Mniemałeś raczej, iż mogę ci być użytecznym i dlatego oszczędzałeś mię.

— Bez wątpienia — spokojnie odpowiedział Dixmer. — Bez wątpienia! — podczas gdyś ty zdradzał twoją rzeczpospolitą i sprzedawał mi ją za spojrzenie mojej żony, podczas gdyś się hańbił, twoją zdradą i jej wiarołomną miłością, ja byłem mądry, byłem bohaterem.

O zgrozo! — rzekł Maurycy.

— Tak, tak jest, oceń postępowanie twoje? Prawda, że sromotne! prawda, że niegodziwe.

— Mylisz się mości Dixmer, sromotne i niegodziwe postępowanie przypisuję ja człowiekowi, któremu powierzono honor kobiety, który go poprzysiągł dochować czystym i nietkniętym, a zamiast dotrzymać tej przysięgi, z piękności jej uczynił sidła, w które schwytał słabe serce. Przedewszystkiem święty obowiązek nakazywał ci opiekę nad tą kobietą, a ty zamiast opiekować się sprzedałeś ją.

— Powiem ci, com był czynić powinien — odrzekł Dixmer — powinienem był ocalić przyjaciela, który wraz ze mną popierał świętą sprawę. Zupełnie o sobie zapomniałem. Teraz nie mam już przyjaciela, sztyletem odebrał on sobie życie; teraz niema już królowej, teraz, ha! teraz myślę o mojej zemście.

— Powiedz raczej o twojem morderstwie.

— Kto ugadza w wiarołomną, ten jej nie morduje, ale karze.

— To wiarołomstwo, tyś jej nakazał, jest więc prawe.

— Tak sądzisz? — rzekł Dixmer. — Zapytaj czy wolna od wyrzutów, czy mniema, że prawnie, postąpiła?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jeszcze teraz można odnowić przedpłatę na pismo nasze, lecz kto tego **zaraz** nie uczyni naraża się na to, że pierwszych numerów już może zabraknąć. W ostatniej chwili prosimy jeszcze Przyjaciół pisma naszego do jednania nam nowych abonentów, **szczególnie w tych domach,** gdzie ciągle jeszcze niemieckie „blaty“ się rozpościerają na wstyd i szkodę sprawy naszej polskiej.

DZIAŁ KOBIECY.

Jedno z ważnych zadań wychowania domowego.

Jednem z ważnych zadań wychowania domowego jest rozbudzenie w sercach dzieci uczuć braterskich i siostrzanych. Uczucie macierzyńskie jest wrodzone; matka po wielu latach nie widzenia pozna swoje dziecko i nie przestanie je kochać. — Mniej intensywną bywa miłość ojcowska; — stanowczo mniej jest na świecie złych matek niż złych ojców.

Mimo to miłość ojcowską należy również zaliczyć do uczuć wrodzonych, natomiast miłość pomiędzy rodzeństwem jest uczuciem nabytem, które niepodtrzymywane, niepielęgnowane nie rozwinie się wcale. Uczucie macierzyńskie przetrwa wszelkie próby uczucia, braterskie rzadko kiedy wytrzyma jakąś próbę silniejszą. Nieraz interes materyalny niszczy je bezpowrotnie. Ileż to razy brat, który się ożenił, staje się zupełnie obcym dla reszty rodziny, zwłaszcza jeśli zaślubił kobietę suchego serca. Częściej jednak można widzieć przywiązanie pomiędzy dwoma braćmi, których zresztą łączy zazwyczaj pewna solidarność męzka, — niż przywiązanie brata do siostry. W biografii Bethowena czytamy, jak ten wielki artysta był niedoceniany przez swych młodszych braci, którzy niewdzięcznością płacili mu za jego opiekę po śmierci ojca. Lecz ileż to sióstr istnieje na świecie, którym za przywiązanie i poświęcenie zapłacono zupełną obojętnością, a nawet nieraz niechęcią! — Opieka braci nad młodszemi osierociałemi siostrami wkrótce przejdzie do dziedziny legend. — Utarło się wprost dzisiaj, że nikt nie poczytuje za zasługę, jeśli siostra zaopiekuje się młodszem rodzeństwem i poświęca dlań czas swój, pracę i wszystkie siły, lecz jeśli brat znajdujący się na niezłem stanowisku przytuli młodszą siostrę, która jeszcze nie jest w stanie zarabiać na siebie, wówczas same kobiety, mające córki na wydaniu, nie przestają mu wyśpiewywać za to hymnów pochwalnych, a niekiedy nawet oburzają się na siostrę, za to, że jest ciężarem bratu, mogącemu przecież ożenić się, założyć własną rodzinę!

W powieściach moralnych dla młodocianego wieku, nieraz stawia się za wzór do naśladowania młodym panienkom ów przykład, wzięty z życia dziewczęcia, które się poświęciło dla rodziny i nie wyszło za mąż, by oddać się wychowaniu młodszego rodzeństwa. Czyż kiedy chłopcom stawiano przed oczy wzory podobne? — Prawda, raz zdarzyło mi się czytać rosyjską powieść dla młodzieży, w której młodociany bohater po śmierci ojca opiekuje się matką i młodszem rodzeństwem i staje się prawdziwym człowiekiem, pełnym hartu i poświęcenia.

Ale takich utworów w literaturze dla młodzieży jest niestety niezmiernie mało, a w życiu rodzinnem również niewiele zwraca się uwagi na pielęgnowanie miłości braterskiej; jeśli się ją pielęgnuje, zresztą, to zbyt jednostronnie.

Mówi się np. dziewczynkom, by ustępowały braciom, bo kobieta powinna być łagodna i kochająca, ale rzadko kiedy mówi się chłopcu, że mężczyzna powinien być uprzejmym i opiekuńczym dla siostry.

I dlatego młodzieniec, gdy dorośnie, potrafi być rycersko uprzejmy dla obcej kobiety, lecz dla siostry ma tylko lekceważenie, a nawet często wprost grubiaństwo.

W rodzinach, gdzie dziewczęta stanowczo przewyższały chłopców pod względem zdolności i pilności w naukach, ze strony braci można obserwować coś w rodzaju zawiści, która się objawia w formie brutalnego lekceważenia kobiet w ogólności, a sióstr własnych w szczególności.

Bardzo często spotykamy siostry dumne i zachwycone inteligencyą i wyższością brata, lecz jakże rzadko spotykamy braci oddających sprawiedliwość charakterowi i rozumowi swych sióstr. Czemu to przypisać?

Czy dumie i zarozumiałości męskiej, która nie chce uznać wyższości w kobiecie? Być może, że i to uczucie odgrywa tu rolę, lecz przedewszystkiem główną przyczyną złego jest wadliwe wychowanie.

P. Coulevain w swojej książce „L'ile inconnue“, w której opisuje życie domowe i działalność społeczną kobiet w Anglii, pisząc o rodzinie angielskiej, mówi z uszanowaniem o uczuciach synowskich, braterskich wśród tamtejszej młodzieży męskiej.

Ale autorka przyznaje tu wielkie zasługi kobiecie matce.

Angielka od lat najmłodszych uczy syna, że ma być w przyszłości opiekunem i obrońcą swej siostry i że w każdej kobiecie opuszczonej, pozbawionej opieki, powinien widzieć swą matkę lub siostrę.

To też Anglik najbardziej sztywny, spotkawszy w podróży kobietę, choćby najmniej interesującą zewnętrznie, lecz potrzebującą jakiejkolwiek pomocy, zaopiekuje się nią prawdziwie po rycersku. Gdyby nawet Anglicy z innych względów nie zasługiwali na uznanie, to szlachetna męskość i obcowanie ich z kobietami musi obudzić ku nim szacunek.

U nas reforma pod tym względem jest wprost rzeczą niezbędną; — a przemawiam tu zarówno w interesie sióst jak i braci.

Uczucie braterskie, jak i siostrzane jest rzeczą tak piękną i szlachetną, że w duszy, która go nie doświadczała nigdy, brak będzie zawsze pewnej struny, dźwięczącej czysto i silnie. Młodzieniec, który kocha siostrę, będzie inaczej, daleko piękniej kochał wybrankę swojego serca. Niema piękniejszego wyrazu w mowie ludzkiej, jak słowo „brat“. Ludzie, związani najwznioślejszą służbą

dla idei, męczennicy i apostołowie, mianowali się pomiędzy sobą braćmi i siostrami. Snać pojmowali dobrze, że nad miłość braterską niemasz czystszej i bezinteresowniejszej. Nawet miłość matki, tak olbrzymia, tak zdolna do poświęceń, jest zazwyczaj mniej pozbawioną pierwiastków ziemskich. Matka w dziecku kocha częstokroć siebie samą, dalszy ciąg swojej własnej istoty, — ale miłość braci i sióstr, skoro jest naprawdę taką, jak być powinna, przedstawia obraz idealny ludzkości, wypełniającej prawo Boże miłości powszechnej. Nie pozbawiajmy tedy dzieci naszych, a zwłaszcza synów, tego idealnego pierwiastku, który wśród błota i brudów, stojących na drodze młodego człowieka, rzucającego się w wir życiowy, może być dlań źródłem ożywczem i zbawczem wspomnieniem. *Marya Łopuszańska.*

Przybranie głowy.

Na nadchodzący karnawał będą bardzo modne tiulowe bandeaux w ciemnych kolorach, jak: ciemno-niebieski, bordeaux, popielaty lub czarny; są również modne szcrokie bandeaux z białego tiulu.

Wstążki ze złota, srebra, oksydu, vieus d'or i innych tkanin dających efekt metalu, są cztery do pięciu cali szerokie i tak upięte, że prawie pokrywają głowę, zostawiając widoczną tylko część fryzury.

Prześlicznie wyglądają, wyżej wymienione „metalowe“ bandeux, bogato haftowane, lub też wysadzane różnobarwnymi kamieniami.

Bandeaux przeważnie zakończone jest z boku kokardą, egretą lub sztucznym kwiatem, albo tego koloru co suknia, albo odpowiednim do materyału, z którego zrobione jest bandeaux; np. srebrnym, złotym, aksamitnym, jedwabnym itp.

Dom i kuchnia.

Farsz ze zwierzyny.

Farsz ten delikatny można przyrządzić z piersi kuropatwy, jarząbka lub cietrzewia, albo z łopatek zajęczych lub sarnich. Mięso musi być pierwej upieczone, lecz nie wysuszone. Obrane z błon mięso (funt) wraz z pół funtem słoniny drobno usiekać, dodać 2 bułki rozmoczone, 1 cebulę przesmażoną, 2 jaja surowe, trochę soli, białego pieprzu i gałki muszkatałowej — przekręcić wszystko przez maszynkę i przetrzeć przez sito, potem dodać jeszcze, kto może, kieliszek madery i trochę usiekanych trufli i szampionów.

Wszystkie wątróbki, pozostałe od zwierzyny, nawet zajęczą lub sarnią, można zmieszać z mięsem, wymoczywszy je wpierw i poddusiwszy z masłem, nie wysuszając.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z pasztecikami, cielęca pieczeń z burakami, tort pomarańczowy.

Poniedziałek. Zupa pomidorowa, zając z czerwoną kapustą, legumina z orzechów.

Wtorek. Zupa cytrynowa, polędwica z jarzynami, szarlotka z jabłek.

Środa. Zupa z jarzyn, kotlety cielęce z makaronem, legumina z kaszki.

Czwartek. Barsz z uszkami potrawka z baraniny, ciastka ptysiowe ze śmietaną.

Piątek. Zupa z ryb, szczupak pieczony z kapustą, omlet z konfiturami.

Sobota. Kapuśniak, cynadry z kaszą, legumina z ryżu.

Na początku

wielu poważniejszych chorób powstaje lekki prawie nie podpadający kaszel. Używajmy przeto przy ukazaniu się tegoż niezwłocznie zalecane przez lekarzy i smaczne

Thymomel Scillae

aby zagrażającemu niebezpieczeństwu zapobiedz!

Fabryka i skład główny w

APTECE B. FRAGNERA,

c. k. dostawca.

Praga-III Nr. 203.

Proszę poinformować się u lekarza.

1 butelka **2.20 kor.,** franko pocztą za porzedniem nadesłaniem **2.90 kor,** 3 butelki za poprzedniem nadesłaniem **7.— kor.,** 10 butelek za poprzedniem nadesłaniem **20.— kor.**

Baczność na nazwę preparatu, fabrykanta i znaczka ochronnego.

Do nabycia w aptekach.

W Krakowie w aptekach M. Masłowskiego, M. Redera, K. Wiśniewskiego.

Użyjcie, jeżeli jesteście zakatarzeni, zachrypnięci, zaflegmieni i ciężko oddechacie, fluidu Fellera z marką „Elsafluid“. — My się sami przekonaliśmy o jego skutku leczniczym, uspokajającym kaszel, orzeźwiającym, przy bólu piersi, szyi etc. Próbny tuzin 5 kor., dwa tuziny 8 kor. 60 h. franko. Wytwórcą jest tylko aptekarz E. V. Feller w Stubicy, Elsaplatz Nr. 260 Kroacya.

:: HUMORYSTYKA ::

Po kolendzie.

Do właściciela pewnego wielkiego domu w głównej dzielnicy miasta zgłasza się jeden z lokatorów.

— Przyszedłem wymówić kontrakt, dłużej mieszkać nie będę.

— A to dlaczego? wszakże mieszkanie wydawało się panu dogodnem?

— Prawda.

— Chwaliłeś pan sam, że ciepłe, suche, widne.

— Prawda.

— Że nawet nie drogie.

— Prawda.

— A więc?

— A więc w domu jest aż sześć stróżów. Panie! jeszcze jedna kolenda, a będę zrujnowany.

Na egzaminie.

— Może mi powiesz, gdzie leży Jamajka?

— Bardzo mi przykro, że nie mogę pana profesora poinformować, bo... sam nie wiem.

Skromność rabusia.

Sędzia: Dokonałeś pan kradzieży w sposób prawdziwie niezwykły rzeczywiście z wyjątkową przebiegłością.

Oskarżony: Bez pochlebstwa, bez pochlebstwa, proszę, panie sędzio.

Pożegnalna mowa pastora.

Pastor pewien, żegnając się ze swymi parafianami, tak do nich przemówił:

— Porzucam was, bo was Bóg nie kocha, wy się sami nie kochacie i mnie nie kochacie. Gdyby was Bóg kochał, tedy częściej wołałby do siebie i ja miałbym więcej za pogrzeby; gdybyście się sami kochali, żenilibyście się częściej i ja miałbym za śluby; gdybyście mnie kochali, tobyście mi dali pensyę już od trzech lat zaległą.

We więzieniu.

Dozorca: Za co dostałeś się do więzienia?

Złodziej: Za pracę, proszę pana, za pracę.

Dozorca: Przecież za to nie dostałeś się do więzienia!

Złodziej: O tak, bo podczas kazania „pracowałem“ przy skarbonce.

Ociemniały.

— Panowie raczcie co ofiarować dla mego nieszczęśliwego, ociemniałego męża — rzecze kobieta nędzna, wszedłszy do restauracyi.

— A gdzież jest twój mąż ociemniały? — ktoś zapyta.

— Stoi za drzwiami, proszę pana, i patrzy, czy jaki policyant nie idzie.

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o najrychlejsze nadesłanie przedpłaty na rok przyszły do Administracyi „TYGODNIKA NARODOWEGO“ w Krakowie, ulica Wiślna l. 2.

Prenumerata wynosi rocznie 9 koron, półrocznie 4 korony 80 hal., kwartalnie 2 korony 40 hal. — Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

„Przewodnik Kółek rolniczych"

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny"

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny" celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych — numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny" Kraków Wiślna 2

Dyplomy honorowe:
Na wystawie
Kraków 1901
Karlsbad 1908

Dyplomy honorowe:
Na wystawie
Londyn 1908
Paryż 1908

W. Sznajdrowicz

Kuśnierz

15 35

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro,
Filia: w Krynicy.

Poleca Szan. P. T. Publiczności, swój obficie i jedynie w towary, doborowe zaopatrzony Skład i pracownię jakoto: Futra dam., Rotundy, Żakietky, Saka, Peleryny, Boa Garnitury, Futra męskie, Spacerowe i podróżne, Marynarki, Surduty, Bekiesze i Dohy, Czapki futrzane oraz wszelkie przybory w zakres ten wchodzące, oraz wielki wybór, Serdaków i Peleryn.

ZAMÓWIENIA

wykonują się z całą starannością, jak również wszelkie przeróbki oraz pokrycia futer, i w tym celu magazyn posiada wielki **Wybór materiałów** z fabryk krajowych, jak również angielskich.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych
St. Niemczyk
KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

50

„GŁOS POLSKI"

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.
PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY,
Rok założenia 1904.
Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny Marjan Hupczyc w Krakowie.